

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 49. Warszawa, dnia 27 Listopada (9 Grudnia) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . .	„ 3 „ „	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
kwartalnie. . .	„ 1 „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
miesięcznie. . .	„ „ 50	w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. **72** NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

— Cóż się dzieje z panem Ślepowronem?

— Stosownie do swego nazwiska szedł na oślep przez życie, i pomimo dobrych chęci pół fortuny wyekspensował na oszustów; nawet w prawdziwie dobrych zamiarach szkodził sobie, gorszył drugich. Naprzykład, dowiedział się gdzieś że jest na świecie płodozmian i postępowe rolnictwo, wnet poświęcił na to parę folwarków, sprowadziwszy z nad Sprei cywilizatorów z machinami i bydłem. W lat kilka stracił cały nakład, a szanowni cywilizatorowie wygrali z nim proces, i musiał jeszcze sute koszta zapłacić. Śmieli się po cichu kochani sąsiedzi, chwaląc swoję trzypolówkę, spleśniałą rutynę nad prawdziwy postęp wynosząc.

Nadworny konsylijarz uniewinniał poufnie pana Ślepowrona, mówiąc: że mózg jego ledwo trzydzieści uncyj wyniesie, lecz i jemu, nic się już nie należy nad *wieczny odpoczynek*: umarł już także na wodną puchlinę. Fortuna dostała się w poczciwe ręce, światłym spadkobiercom.

— Jakże taki idyjota mógł dobrze wychować swe dzieci?

— Spadkobiercami są dalsi krewni, dzieci p. Ślepowrona marnie poginęły. Z trzeciej żony miał co prawda syna podobnego do ludzi.



Laokoon.

ale sławny guwerner odpędził mu rozum z głowy ową *rószczką*, którą jakoby: „*Duch święty dziateczki bić radzi*,“ umarł chłopak w Aversa w domu obłąkanych.

— Jużto mówcie co chcecie, rzekł p. Drobysz, bez rózgi nie podobna wychować dobrze dzieci. Byle nią nie przesolić, to narzędzie konieczne. Coby to i z nas było, gdyby nas nie ćwiczono za młodu? kto wie na coby śmy wyszli?

— Możebyśmy byli gorsi, może lepsi, odpowiedział p. Senadworski. Bóg jeden wie coby było, człowiek to tylko wie co jest. Ale zrozumiejmy samą zasadę cielesnej kary.

— Ja tam o zasadach nic nie wiem, ale to wiem z doświadczenia: że ile znałem w ryzie trzymanych dzieci, tylu widziałem porządnych ludzi; ile rozpieszczonych, tylu mazgajów i nie do rzeczy pod każdym względem.

— Panie Jacenty, czy znasz wszystkich ludzi całego świata, a choćby swojej prowincyi, czy wiesz jak wychowani byli?

— A toć wołowej skóry za mało na spis wszystkich z jednego powiatu, a życia nie stanie na znajomość wszystkich z jednej prowincy...

— Jakże więc opierać to lub owo zdanie na tak wąskiej podstawie, jaką jest osobista znajomość i doświadczenie jednego człowieka?

— Jużciż nie można; lecz jakaż inna droga kontroli, oprócz poznania większości złych lub dobrych skutków, wynikłych z danej przyczyny?

— Słusznie, lecz jakże się o tej większości dowiedzieć? Sami przecież uznajecie, że życie

ludzkie nie wystarczy na kontrolę tej większości.

— Czego człek sam nie widział, może się dowiedzieć o tem od drugich.

— Prawda, lecz od czasu jak Pan Bóg pozwolił ludziom druk wynaleźć, nie ma w niczem sekretu. Co się dzieje na jednym końcu świata, wnet wiedzą na drugim. Tym więc sposobem, ludzie całego świata rozmawiają o wszystkiem, kontrolują większość złych lub dobrych skutków, wynikłych z danej przyczyny i przychodzą do wyjaśnienia zasad w ich najobszerniejszem zastosowaniu, do życia jednostek i ogółu. Kontrola otóż złych i dobrych skutków na świecie, wykazała, że kara cielesna w wychowaniu, wyrzuconą być musi z chrześcijańskiej społeczności.

— Dobrze jest bić kotlety ale nie dzieci, wtrąciła pani Nieborska, toć dziś już nawet konie ujeżdżają się bez bicia.

— Ha! niechże tak będzie jak mówicie. Wy tam więcej odemnie czytacie, mnie ledwo czasu wystarcza na jednę gazetę przy gospodarce; nigdy jednak nie zrozumiem jak się obejdzie dziecko głupie bez strachu i grozy?

— A powiedzże panie Jacenty co umie dziecko bez nauki?

— Umie jeść i pić.

— Cóż więcej?

— Cóż więcej, no, umie do czasu kochać papę i mamę; potem jak się wydobędzie na wolność to już za nic ich ma....

— A zatem: żeby to kochanie nie zwietrzało, należy je łagodnie rozwijać i kierować niem umiejętnie; należy się starać tak dziećmi pokierować iżby nie bólu rózgi ale bały się obrażenia rodziców. Zgadzamy się zatem w zasadzie obydwa na potrzebę bojaźni, a w tem się tylko różnimy, że wy ją chcecie przez ciało, my przez duszę wprowadzić.

— Czyż ja oprawca jaki? I ja zgadzam się z wami. bo mi tylko o dobre skutki chodzi. Czyż to miło człowiekowi katować krew swoję własną.

— Zważ jeszcze kochany panie Jacenty, że dziecię przez bojaźń kary cielesnej wstrzymane od złego, póty go się niedopuści póki od rodziców zależy. Potem pójdzie drogą jaką zechce...

— Macie zupełną słuszność i chętnie uznaję się zwyciężonym, ale wracając do rzeczy powiedzież teraz, jakim sposobem taki à la pan Spirydyjon kawaler dostał aż trzy żony? Czyż by istotnie matki oddawały córki więcej dającym?

— Prawie tak, tylko pod skromniejszym pozorem, pod pozorem karyjery i tak nazwanego szczęścia swych dzieci.

— Doprawdy, świat zepsuł się do ostatka, powiedział pan Prot Działosza.

— Nie zgadzam się na to wcale: owszem uważam że się coraz przerabia na lepsze.

— Śliczna lepszość, gdy wszystko do góry nogami przewrócone!

— Zapewne że wygodniej mieszkać w walącej się chacie niżeli pośród gruzów, ależ muszą być gruzy zanim nowy gmach stanie.

— Nie tego nie pojmuję. Powiedz wprost panie Norbercie, dla czego to dawniej nie spekulowano z ożenkiem a szczęśliwsze były małżeństwa?

— Dla czego wasz ojciec panie Procie, trzymał się trzypolówki, i prowadząc dom otwarty kapitały składał? Czemu wy, żyjąc z kolei i daleko skromniej i na tej samej fortunie o małoście w długi nie popadli, nie uległszy żadnym klęskom nadzwyczajnym?

— Bo za czasów rodzica inne były warunki dla rolnika. To też widząc że gdy nie ja to mój syn zbankrutować w ten sposób musi, zaprowadziłem gospodarstwo postępowe do ducha czasu zastosowane, no i dziś jako tako Bogu dziękować.

— Aha, więc już w pierwszym roku owych ulepszeń, mieliście większe z majątku dochody?...

— Gdzie tam, prawie nic nie miałem przez pierwsze trzy lata, śmieli się ze mnie sąsiedzi, do dziś nawet śmieją się z tych zamorskich jak utrzymują ulepszeń; powodzenie, przypisując jedynie mojemu osobistemu szczęściu.

Jednak i z nich mało który słowo w słowo, trzyma się ojcowskiego trybu. Ten stawia karczmy i browary; powiększa wysiewy lub je pomniejsza; ów zmniejszył liczbę służących, podparł się sukcesyjką po stryjaszku, którego nie był synowcem; lub bogatym ożenkiem podreperował pochyloną fortunę. Słowem, każdy coś swego dodał do ojcowskiej rutyny, utrzymując że starzy nie umieli się rządzić; starzy znów za to kiwając głowami, powtarzają że tych wymysłów i wykrętów nie znali, a było chleba po uszy i złota pełno w szkatule.

— Alboż nie widzicie w tem wszystkiem rozdwojenia myśli przewodniej, jakiego dawniej nie było?

— Rzecz to prosta ale cóż z tego wynika?

— Szukanie oto nowej myśli, gdy stara nie wystarcza. W tem szukaniu każdego na swoję rękę, musi być rozproszenie i nieład, muszą błąkać się jednostki, nim wyrobi się myśl jasna dla wszystkich zrozumiała, myśl która wszystkim za kierunek w życiu i pracy posłuży. Z tego zrozumiecie, dla czego, mając odwagę, fachowe wykształcenie, i odpowiednie środki, umieliście postąpić naprzód w swej gospodarce, z tejże samej przyczyny wasi sąsiedzi, przy braku odwagi, fachowej wiedzy lub środków, trzymają się uparcie spróchniałej rutyny, albo nie widząc próchna w fundamencie, siłą się wszystkiemi sposoby na jej podtrzymanie, reperując nadaremnie dach i ściany. Inni nakoniec chcą wszystko od fundamentu przebudować, lecz biorą się do tego na chybił trafił, na jakoś to będzie, bez właściwej nauki, bez środków odpowiednich, bez wytrwałej odwagi. Macie więc w jednym przedmiocie tyle zamętu, tyle różności zdań w jednej parafii. Rzućcie myśl waszę na wszystkie potrzeby ludzkiego bytu, ileż w każdej przeciwności i mroku, ileż pracy przed nami by je na jaw wyświecić na tle jednakiej barwy! Pamiętamy wszyscy fakt z czasów naszego dzieciństwa; kiedy to cały zastęp klasyków uderzył na pierwszy promyk romantycznej poezyi. Nawet z katedr, męże nauki i najpoczciwszych chęci, ciskali kamienie pogardliwej ironii na wschodzącą gwiazdę genijusza nowej myśli. Tymczasem jeden z najpotężniejszych jej przeciwników (K. Koźmian), instynktem poetycznej duszy, o czem innem myśląc, przed walką jeszcze napisał:

„Jak Araby skwarem spiekłe,
Przeciw słońcu co je pali,
Miotają bluźnierstwa wściekłe:
Próżne wycia, marne wrzaski,
Wrą pod ich nogami piaski
Słońce posuwa się dalej.“

Przypomnijmy sobie że zgoda tem trudniejszą tu była, że na czele hufców klasycyzmu, stali szanowni mężowie niezaprzeczonej powagi i nauki. Do małego szyku nieznanych romantyków, łączyła się niesforna drużyna płowych naśladowców. Pierwsi trzymali ogół w oślepieniu, przyjaciele drugich budzili go aby zamiast greckiego posągu, dać na wymianę wiązkę zwiędłych kwiatów, bez barwy i woni.

Mimo to wszystko, któż dzisiaj wzywa od muz natchnienia? kogo o śmierci bogów Olimpu przekonywać trzeba?

Gdy świat parą leci, niedługo już czekać by owe wekslarskie małżeństwa, skąpstwa idyjotyczne i obłąkane marnotrawstwa zginęły; by zginęło wiele innych rzeczy, które dziś są jeszcze kwestyjami, a które czas rozwiąże niebawem.

— Szkoda że tego co tu mówimy nie słyszy mój szwagier. Zaczął i on swoję gospodarkę poprawiać a innych brała też ochota pójść za tym przykładem; atoli kilka niepowodzeń odjęło mu siły, posiwiał, zmarszczył się, i stracił energiję. Podniosłeś go na czas jakiś panie Józefie, ale znowu podupadł a ludzie nawet mówią, że się nałóg doń przypłątał.

— Namówcie go, odpowiedział pan Józef, niech się przeniesie do Nadarzyna, który objął teraz po zmarłej ciotce. Dom znajdzie wygodniejszy, ogród wielki i ślicznie utrzymany, malownicze okolice, ziemię ukraińską choć zaniedbaną. Tu będzie miał nowe pole działalności, a co najważniejsza zobaczy gotowe już wzory postępu u światłych sąsiadów, z których najbliższym jest pan Oświecimski.

— Pan Trojan, to go znacie? Wielem o nim słyszała, wtrąciła pani Mojska.

— Podczas moich wędrówek, wypadło i do pana Trojana zajechać. Na dziedzińcu spotkałem gospodarza domu, gdy z rydlem w ręku powracał z ogrodu. Po przywitaniu wprowadził mnie do pokoju, przedstawił żonie; przy niej dziatek jak maku, a wszystkie zdrowe, śliczne i wesołe. Pokoiki nie wielkie ale tak czyste że aż miło patrzeć. Dziwna mnie błogość owiała, po godzinie jużem znał na wylot tych ludzi: skromny domek i jego mieszkańcy, to czyste zwierciadło, w którem się człek duszą i sercem przezierał z roskoszą.

Oboje państwo Oświecimscy pochodzili z bardzo dostatnich i światłych rodziców, co widać na nich od razu. Nie znać tam żalu po dostatkach, ani martwej rezygnacyi, która się z biedą nabywa i biedzie ogłupieć daje; swobodni i weseli, patrzą rozumnie na obowiązki życia, pewni że obowiązkom tym nigdy nie uchybią.

Szarugi losu rozwiały fundusze rodziców obojga Oświecimskich a szczęśliwym tylko trafem udało się ocalić mały folwarczek Niewielicze, o dwunastu dymach. Pan Trojan

sprzedał z niego połowę a na reszcie zaprowadził postępowe rolnictwo. Lat piętnaście jak rozpoczął a rzekłbyś że to wyspa szczęśliwości, przeniesiona z Zachodu, i podług tutejszych potrzeb urządzona. Długu ani grosza, życie skromne lecz wygodne, gościnne, uczynne, poczciwie rachunkowe; bo na same książki i gazety do tysiąca złotych wydawać mogą. Wasz szwagier panie Procie, znajdzie tam jeszcze parę innych godnych wzorów to go ożywi, i doda sił do dalszej pracy...

— Bóg zapłać za projekt poczciwy, postaram się wyciągnąć go do Nadarzyna. Ba jam gotów sam tam co rychlej pojechać, aby się czego nowego nauczyć, i szwagrowi niesłyszane lecz widziane dziwy powtórzyć dla lepszej zachęty.

— I co go tak złamać mogło, zapytała pani Senadworska, znałam go młodzieńcem, a wiele wtedy obiecywał...

— Więcej oto nań włożono niż był dźwignąć w stanie, naszamotał się i upadł. Nakładziono mu w głowę i nauki i artyzmu, uwierzył że ma rozum, jął się pracy, kilka klęsk kolejnych złamały w nim ducha, o którym i rodzice, i guwernerzy i on sam nie pamiętał. Masz więc dziś człowieka, w którym parobka zepsuli i księdza nie zrobili. Poczciwe serce a w duszy echa dawnych marzeń i dążeń, zbudzić go jednakże jeszcze mogą w pośród ludzi do życia

— Tem pewniej że obok pod ręką zobaczy żywych trupów, smutne wzory gnuśności i ciemności, z któremi nie zejdzie się na żadnej drodze, jako człowiek lepszego wychowania.

O lekką milkę od Nadarzyna zajechałem do pewnego dworu a obdarta sługa wyszła na spotkanie moje przed ganek i powiedziawszy że są panowie uciekła z powrotem, a gdym ledwo płaszcz zrzucił, wypadła znowu z pisklìwem oświadczeniem, że: panów nie ma w domu. Kazałem powiedzieć żem jako urzędnik przyjechał po służbie i bez ceremonii wchodzę do pokoju.

Chłodno tu i pusto, a gospodarz kwaśny przyjmuje mnie obojętnie nad wyraz. Gdy półgębkiem odpowiada na pytania moje, wpada para podrostków; jeden w odwiecznym fraku z połami do podłogi, drugi w surducie jakimś bardzo długim i staroświeckim, obaj podobni do pana Nicefora. Jednego nazywał ojciec Furfusiem, drugiego Cyryjasiem. Zobaczywszy mnie zemknęli obaj co duchu. Widząc że po przyjacielsku nie wiele tu zrobić potrafię, szorstko oświadczam żem jest kuratorem magazynów włościańskich, i proszę o pofatygowanie się ze mną do spichrzów. Zaświeciły zaraz szklane oczy pana Nicefora, udobruchał się i wygrzeczniał, zacierał ręce, wrzeszczał aby co prędzej nakrywać do stołu i poszedł za mną do magazynu. Ani ma się rozumieć nie znalazłem połowy zboża, a to co było stęchłe było i nieczyste. Po krótkim przeglądzie wracamy a tu czeka nas już sama pani naprędce wykrygowana, powitała mnie istnym gradem przesadzonych grzeczności narzekając na ciężkie czasy, obgadując wszystkich z kolei sąsiadów.

Nareszcie waza na stole i siadamy; obiadek przecież bardzo skąpy a tu jak na złość wilczy mnie napadł apetyt. Trzeba było jednak poprzestać na tem co dali i nasłuchać się następnie przeprosin gosposi skarżącej się na lenistwo i nieumiejętność kucharki, na łagodność męża, co nie umie rygoru w domu utrzymać.

Po obiedzie poszedłem do ogrodu, w którym także jak w całym domu ładu i składu nie było a od wałęsającego się tu żydka, rozmaitych nadowiadywałem się szczegółów o panu Niceforze. Szczegółów tych powtarzać nie warto, bo życiorys pana Nicefora to rzecz dosyć zwyczajna. Za młodu sługiwał po kawalerskich dworach i uciułał sporo grosiwa; potem dodrapał się szlachectwa i odebrał wraz z siostrą niekoniecznie przynależną im sukcesyją; nareszcie ożenił się ze starą panną niewiadomego pochodzenia, ale wielce doświadczoną w krętych drogach mętnego żywota, nakoniec nabyli wioskę i kuli pieniądze; ludzie zaś, chociaż śmieli się i gardzili niemi po cichu, szanowali w nich wyrazicieli krociowego majątku, dali im prawo myśleć że dobrze postępują, skoro równe każdemu mają miejsce w towarzystwie. Bóg z nimi, zostawmy ich w pokoju. Ale teraz wam powiem gdziem popadł wyjechawszy od państwa Niceforów.

Z kolei otóż moich wizyt, znalazłem się we dworze państwa Hedekranców. Zrewidowałem tu magazyn włościański, i ucieszony doskonałym porządkiem, chciałem ruszyć na noc do niedalekiej wsi mego krewnego, ale gospodarz ani mi o tem mówić pozwolił. Przy wieczerzy poznałem cała rodzinę: żonę, trzy córeczki podlotki, dwóch małych synków, przy nich dwie bony, niemka i francuska, guwerner angliki guwernantka szwajcarka. O dziesiątej jużeśmy się rozeszli na spoczynek bo gospodarz rano wstaje. Pokój mój znalazłem eleganckim co się nazywa, i łóżko w nim czyste, wygodne, kanapa i krzesła sprężynowe, na stoliku srebrna taca, na niej wyborna woda i kilka flaszeczek różnych soków, papierosy i cygara i turecka fajka z antypką i doskonały tytoń, ba i biurko z całym piśmiennym przyborem, zarzucone ostatniemi numerami dzienników angielskich, francuskich i niemieckich. Oprócz illustracyi francuskiej, wszystkie pisma należały do specyjalnych w przedmiocie rolnictwa, nauk przyrodniczych, przemysłu i handlu. d. c. n.

NASZE PODRĘCZNIKI

do nauki historyi powszechnej.

(Dokończenie).

Nie każdemu może wiadomo, że ostatniemi czasy we Lwowie ukazały się dwa podręczniki do historyi powszechnej pióra p. Benoniego. Wydane w Galicyi mniej mogą być znane publiczności naszej. Dla tego też nie będzie może zbytecznem zwrócić na nie uwagę, tem bardziej, że—powiedzmy to z góry, wartością swoją na to zasługują. Jeden z nich, pod tytułem „Krótki rys geografii i historyi powszechnej. Część I. Świat starożytny,“ przeznaczył autor do użytku w szkołach niższych. Zadaniem więc tej książeczki jest obznajmić młode pokolenie z główniejszemi wydarzeniami dziejowemi. Ma tedy zastąpić dotychczas używane podręczniki, a zyska powodzenie i uznanie o tyle, o ile potrafił jej autor trochę szczęśliwiej od poprzedników swoich dotrzymać wiary zasadzie, którą przyjmowali za hasło i oni, lecz w wykonaniu niedopisały im siły. Pan B., jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w znacznej części zarzutu tego obawiać się nie potrzebuje. Umiejętność w wyborze faktów uderza od samego początku, a pewna wyrazistość rysów, skupiająca uwagę na główniejszych wydarzeniach i osobach, nadaje opowiadaniu barwność i ożywienie. Nie wpada w oschłe wyliczania faktów, jak to znajdujemy np. w dziełku p. Skrzypińskiego, nie rozpływa się w bezbarwnych komunałach, jakie cechują prace Zdanowicza, nie jest przy tem zwięzły aż do lakonizmu jak Weber lub Pütz. Słowem, chociaż często niezbyt szczęśliwie, starał się jednak utrzymać p. B. na stanowisku, jakie zająć postanowił i jakie zająć był powinien. W gromadzeniu szczegółów nie zbyt gorliwy, układa je tak zręcznie, iż nie pozbawia nauczyciela możności uzupełniania ich w razie potrzeby, chociaż w niektórych miejscach, zdaniem naszem, niepotrzebnie przytacza jakieś nazwisko; niedogodność tę wszakże łatwo usunąć. W ogóle, książeczka w sposobie wykładu udatnie zastosowana do umysłów młodocianych, spodziewamy się, że z wielkiem da się użyć powodzeniem i korzyścią. Jeden tylko okres *cesarstwa rzymskiego* przedstawia się dosyć nieszczególnie i mimowolnie przypomina Zdanowicza. Czuł to p. B., skoro się tłómaczy, że przy wykładzie dziejów średniowiecznych uzupełni go należycie. Nie wiemy, co prawda, w jaki sposób zamierza autor to dopełnienie uskutecznić; w każdym razie nie spodziewamy się aby mógł to uczynić szczęśliwie. Dopełnienie będzie możliwe o tyle, o ile dzieje cesarstwa wiążą się z dziejami wędrówek narodów; lecz to, co ma interes dla dziejów tylko rzymskich, w części 1-ej należało mniej zwięźle przedstawić. Sądzimy, że lepiej było pomiuąć imiona niektórych cesarzów, a natomiast wyrazistszemi oddać rysami takiego np. Oktawijana-Augusta, Nerona, Trajana, Konstantyna W. i kilku innych. Tymczasem wątpić należy, czy 5 stronic, na których p. B. wyłożył dzieje cesarstwa, mogą wystarczyć choćby w połowie tylko. Z drugiej strony, zarzut tej samej natury można by uczynić i początkowym kartkom odnośnie do dziejów Asyryi i Babilonii, które napisane są nie powiemy sucho, lecz blado w porównaniu z dziejami Izraelitów. Większa harmonija i równowaga byłaby tutaj pożądaną. Tę nieproporcyjonalność równoważy natomiast wielka zasługa w metodzie wykładu dziejów starożytnego Wschodu. Sposób *synchronistyczny* nadaje się do nich najlepiej; ustawiczne powstawanie i znikanie różnych państw na Wschodzie, już z samej natury rzeczy wymaga współczesnego traktowania wydarzeń dziejowych. Punktem środkowym dla pana B. są dzieje Izraelitów. Ze stanowiska nauki jest to punkt wyjścia mniej uzasadniony, ale jak dla instrukcyi początkowej bardzo dobrze obrany i cały plan nie mniej szczęśliwie przeprowadzony. Mamy tedy pierwszy oryginalny podręcznik, traktujący dzieje starożytne według

metody synchronistycznej. Zdanowicz jest mu stanowczo przeciwny; to samo inni. Jeden tylko Welter przeniósł ją nad etnograficzną i z tego względu uważamy za właściwe na tem miejscu poświęcić kilka uwag jego „Dziejom powszechnym skróconym,“ o których dotychczas nie mówiliśmy wcale. Rozmiarami dziełko to, przełożone na polski język przez Sawczyńskiego, powinno się równać „Krótkiemu rysowi“ Benoniego; sposób traktowania przedmiotu także ten sam, a nawet przy bliższem porównaniu trudno jest orzec, czyja praca iest lepsza. Te miejsca, któreśmy w „Krótkim rysie“ znaleźli słabszemi, szczęśliwiej opracował Welter, nie uniknął wszakże usterek tego samego rodzaju; tak np. znaczenie osadników azyjatyckich w Grecyi nie uwydatnione; szczegóły o Fufecyjaszu niepotrzebne; o trybunach wojskowych z władzą konsularną należało pominąć; boć to byli urzędnicy tylko czasowi. Nie wiemy jakiej metody trzymać się będzie p. B. w dalszych tomikach; to tylko powiemy, że jeżeli dla dziejów starożytnych zacytowane dziełko Weltera, nie ustępuje jego pracy, to w dalszych częściach już jest mniej zadawalniająco przeprowadzone. Przy skracaniu Welter nie tak często jak w swojej większej „Historyi powszechnej“ przeskakuje z jednego miejsca na drugie; z tej tedy strony skrót zyskał, ale nic nie zyskał na harmonii i proporcyjonalności, Dzieje Niemiec nie tylko, że stoją na pierwszym planie, co mniejsza, ale traktowane są zbyt szczegółowo, co gorsza. Tłómacz, który prawdopodobnie (oryginału nie znamy) uzupełniał dzieje Polski, powinien był, zdaniem naszem, znacznie skrócić historyją Niemiec. Dla historyi tedy średniowiecznej i nowożytnej „Historyja powszechna skrócona“ Weltera, jest tak samo niepraktyczna jak i owa praca tegoż autora, o której mówiliśmy powyżej. Tutaj może tedy p. Benoni pozostać bez rywala, jeżeli pracy swojej w dalszym ciągu prowadzić nie zaniecha.

Wypowiadając zdanie swoje o dziełku pana B., nie możemy zamilczeć o jednej jeszcze usterce, która zresztą tak jak i kilka innych już wymienionych, z łatwością przy wykładzie może być usuniętą. Mamy tu na myśli okres bohaterski Grecyi, któremu za wiele poświęcił autor miejsca, gromadząc prawie wszystkie głośniejsze podania; niektóre z nich można było pominąć, a lepiej byłoby natomiast wycieniować inne; np. podanie o czynach Herkulesa mogło nabrać więcej rysów charakterystycznych, gdyby p. B. nie był poprzestał na suchem ich wyliczeniu.

Cokolwiek zresztą możnaby zarzucić wymienionej pracy, nikt jej nie zrobi zarzutu nieumiejętnego wyboru i traktowania przedmiotu. P. Benoni, pamiętając, że pisze dla początkujących, nie zapomina wszakże i o tem, aby ich praca nie była zmarnowaną dla przyszłości. Wybrane szczegóły mają swoję doniosłość naukową i jako takie zawsze stanowić będą faktyczną podstawę dalszej pracy na polu historycznem. Uczeń gdyby nawet z pewnym mozołem stał się panem materyjału, nie będzie nigdy narzekał, że praca jego nie przyniosła mu korzyści. Przeciwnie, wyznać będzie zmuszony, że „Krótkiemu rysowi“ zawdzięcza bardzo wiele, chociaż to książeczka elementarna.

Jak wydaniem tej pracy dowiódł, zdaniem naszem, p. B., że i w dziełkach „dla początkujących“ można traktować historyją dostępnie, a zarazem i naukowo, tak z drugiej strony, nie zapomniał i o tem, aby na zasadzie nagromadzonego w niej materyjału poprowadzić gruntowniejszą naukę dziejów. W tym celu niewątpliwie ułożył i obszerniejszy podręcznik, którego tytuł: „Rys geografii i historyi powszechnej, dla wyższych klas szkół średnich i do nauki prywatnej,“ wskazuje, że zmierza już do gruntowniejszej wiedzy. Stanowcza opinija o tej pracy p. B. byłaby przedwczesna, gdyż wydane dotychczas zeszyty nie obejmują całości dziejów nawet starożytnych. Tyle wszakże powiedzieć o niej można, że zalety, które cechują „Krótki rys“ znajdujemy i tutaj. Ta sama umiętność grupowania wypadków, ta sama łączność i przejrzystość, trafne cieniowanie szczegółów ze względu na ich doniosłość dziejową, oto główne zalety samej metody wykładu. Nie wszędzie, co prawda, jest autor jednakowo szczęśliwy. Pierwsze lata istnienia rzeczypospolitej rzymskiej wyszły dosyć nieudatnie, a mianowicie nie potrzebne są tu drobiazgowe szczegóły, odnoszące się do administracyjnego podziału kraju i inne, należące raczej do nauki starożytności, niż do właściwej historyi. Cały ustęp przybrał skutkiem tego cechę zbyt specyjalną i oschłą, ale już od początku walki plebejuszów z patrycyjuszami jędrny i barwny sposób opowiadania odzyskuje swe prawa i urywa się wraz z ostatnią stronicą ostatniego jak dotychczas zeszytu, na zrównaniu praw stanowych.

Jeżeli w ogóle przyznać należy panu B. wielką umiejętność systematycznego i w miarę treściwego wykładu, bez uszczerbku dla samego przedmiotu, to dzieje Grecyi stanowią szczyt tej doskonałości, co za tem większą uważać należy zasługę, że ta właśnie część dziejów starożytnych dla braku stałego punktu ciążenia, największą przedstawia trudność do pokonania. Żaden autor podręcznika, o ile wiemy, nie wybrnął z tego zamętu tak szczęśliwie jak p. Benoni.

Tyle co do sposobu wykładu w rzeczonym „Rysie.“ Aby wszakże dać jakie takie wyobrażenie o jego stanowisku naukowem, zauważymy, że p. B. na wzór podręczników zagranicznych uwzględnił i te strony życia dziejowego, które dopiero nowszemi czasy zaczęto wprowadzać do książek podręcznych. Znajdujemy tedy w jego „Rysie“ przy dziejach politycznych każdego narodu treściwy przegląd tego, co w ogólności nazywamy cywilizacyją. Nie powiemy, aby to był obraz dokładny; lecz z drugiej strony, trudno wymagać czegoś więcej od książki, przeznaczonej do użytku w średnich zakładach naukowych.

Moglibyśmy natomiast wymagać, nie od p. B., ale od wszystkich w ogólności autorów książek podręcznych do nauki historyi, aby cały ten dział życia dziejowego bardziej organicznie łączyli z opisem wydarzeń politycznych. Jesteśmy przekonani, że dotychczasowa metoda w tej mierze chybia zupełnie celu. Raz, że usuwa go niejako na plan drugorzędny i przedstawia jako rzecz dodatkową; powtóre, zrywa wszelki stosunek wzajemnej zależności pomiędzy dziejami politycznemi i dziejami uspołecznienia pewnego narodu. Tymczasem wyrażony powyżej stosunek zależności obu tych sfer życia narodowego należałoby raczej uwydatnić, aniżeli osłabić. Obie części zyskałyby nie tylko na zrozumiałości i organiczności, ale zarazem nabrałaby większej wyrazistości i tak zwana cywilizacyja, i jej obraz, chociaż tylko w głównych podany rysach, nie przedstawiałby kupy licznych szczegółów, które razem wzięte rzucają prędzej fałszywe lub niewyraźne światło na cywilizacyją narodu, gdyż przy tej metodzie trudno zachować względy chronologiczne, a tym sposobem ściera się z nich wszelkie znamię czasu i wieku.

Nie robimy z tej okoliczności zarzutu książce p. B.; chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę tych, którzy piszą podręczniki historyczne dla dojrzalszej młodzieży, aby przynajmniej w części, o ile to jest możliwe, uwzględniali nowsze wymagania nauki. Dotychczas oryginalne prace nasze nie podejmowały żadnych w tej mierze usiłowań, wyjąwszy może Poplińskiego, który zresztą poprzestaje na bardzo skąpych okruchach, sprawom polityki zewnętrznej najwięcej miejsca poświęciwszy. Do pracy p. B. uwagi tej, pominąwszy wyżej wskazaną niedogodność, zastosować nie można. Przeciwnie, autor „Rysu“ stara się utrzymać na poziomie naukowym i uwzględnia nawet najnowsze wyniki badań, chociaż, niestety! *nie wszędzie.* Dzieje Rzymu stoją pod tym względem najwyżej. Mniej natomiast zostały uwzględnione najnowsze zdobycze *oryjentalistów.* Są co w nich prawda, szczegóły dotychczas poruszone a nie rozstrzygnione; mógł je tedy autor zaignorować; ale są i takie, które stały się pewnikami, a te należało uwzględnić. Najmniej się troszczył p. B. o dzieje Mezopotamii; znajdujemy w nich błędną chronologiją i mylnie podane fakty. Tak np. spotykamy się tu z Sardanapalem [1])? (czy nie Salmanassarem), który zdobył Samaryją; chociaż dzisiaj jest rzeczą dowiedzioną, że podboju królestwa Izraelskiego dokonał Sarynkon, następca Salmanasara, a tymczasem jako następca tego ostatniego figuruje w „Rysie“ Sancheryb; wstąpił on na tron dopiero w r. 704, a więc nie mógł w 711 ponieść klęski pod Jerozolimą. Pominąwszy zresztą pojedyńcze szczegóły mielibyśmy większe prawo wymagać poświęcenia kilku przynajmniej wierszy ludności turańskiej i chamickiej, które, jak dzisiaj wiadomo, były niejako podścieliskiem dziejowem dla szczepu semickiego, a nawet przekazały mu nabytki swojej cywilizacyi. P. Benoniemu znane były prace oryjentalistów takich, jak np. Lenormant, którego często cytuje. Dla jakich tedy względów zamilczał o etnicznej różnolitości większej części narodów starożytnego Wschodu, nie wiemy. A rzecz warta była uwzględnienia!

Edw. Zdz. Gr.

---

[1]) Jest to zapewne „lapsus calami,“ których kilka można napotkać i w „Krótkim rysie,“ np. że Cyncynat pobił Wolsków (ma być Ekwów) i t. p.

ŻYCIE I OBYCZAJE ROŚLIN.

Usprawiedliwienie tytułu nadanego artykułowi. — Przymioty sosny i drzew iglastych. — Modrzew. — Cis i cyprys towarzysze mogił. — Cedry Libanu. — Welingtonija. — Drzewa palmowe. — Dwadzieścia tysięcy kwiatów na jednym krzewie. — Drapieżne kaktusy. — Dusiciele roślinni. — Dystylatorki wody pod zwrotnikami. — Wallisneryja. — Potworny wygląd Welwiczyi. — Czułek wstydliwy i jego obyczaje. — Ruchy wahadlika Bengalskiego. — Żywa pułapka na muchy. — Grzyby i pleśnie. — Bezecne obyczaje roślin pasożytnych. — Rehabilitacyja roślin zdrożnych.

Osobliwszy tytuł artykułu naukowego, powie sobie w duchu lub głośno czytelnik, ruszając ramionami. Nie słyszałem dotąd, orzeknie drugi, aby istniały jakie obyczaje wśród roślin; no, dzisiejsi naturaliści i ci krzewiciele nauk przyrodniczych, chorują oczywiście na wyobraźnię pełną urojeń. Ba, dorzuci trzeci krytyk, że autor napisał gruby tom *o życiu i obyczajach zwierząt*, to już mu zachciało się toż samo przykroić do roślin, ciekawym wielce jak się z tego zadania wywiąże, jak tytuł usprawiedliwi. Owóż w istocie zamierzam usprawiedliwić tytuł, tylko proszę was mili czytelnicy, abyście przedwcześnie nie ruszali ramionami i chłodniej oceniać raczyli rojenia mojej wyobraźni, zwracając nieco uwagi na to, co w obronie mojej pracy, a tem samem tytułu zaraz przytoczę. A więc przedewszystkiem zapytuję panów krytyków, czy nie dostrzegają życia w roślinie? Czy nie widzą corocznie jak wszelki krzew kiełkuje, wzrasta, pokrywa się kwieciem, wydaje owoc, jednem słowem rodzi się, istnieje i umiera? Zdaje się że nikt temu nie zaprzeczy, bo czyż można zaprzeczać rzeczywistości. Z kolei niech mi szanowni recenzenci wskażą, jak mam nazwać charakterystyczne cechy wielu a wielu roślin, cechy określające niezaprzeczenie to, co zwykle nazywamy obyczajem? W świecie tak zwierzęcym jak i roślinnym, istnieją pewne prawa życia, pewne wybitne własności, przejawiające się dodatnio lub ujemnie. Nikt zaprzeczyć nie może, że rośliny zbożowe są wielce użytecznemi dla człowieka, że pszenica, żyto, jęczmień, gryka, służą nam za pokarm zdrowy i posilny. Z drugiej strony, nie mamże prawa nazwać pokrzywy złośnicą; blekotu, cykuty, ostromlecza, kulczyby czyli tak zwanego wroniego oka, trucicielami? Czyż rośliny powojowate, owe lyjany w których uścisku niszczeje najpiękniejsze drzewo, ba, mało powiedzieć niszczeje gdyż całkiem usycha i zamiera, czy powtarzamy te lyjany nie reprezentują nam wybitnego charakteru zbójeckiego? Nie wolnoż mi nazwać dębu wspaniałym, topoli wyniosłą, cyprysu smutnym, kaktusa złoczyńcą, róży zalotnicą, fijołka przedstawicielem wdzięku i skromności? Ha, jeżeli na to wszystko nie pozwalasz mi surowy czytelniku, to wymyślże sobie jaki inny słownik; zabroń muchołówce chwytać owady, czułkowi odbierać wrażenia, nepencie napełniać swą czarę przejrzystą wodą, bzom rozlewać w powietrzu woń balsamiczną. Zabroń roślinom żyć, leczyć nas, truć lub kaleczyć, pozbaw ich jeżeli możesz życia, blasku, barw i woni. Nie uznawaj w nich, boż to ci wolno, żadnych przymiotów, a wadami ich pogardzaj, lecz w takim razie cóż się okaże? Oto Arystarchu, poczciwcze, to tylko, że twoje oczy nie dostrzegają tego wszystkiego w przyrodzie, że nie mogłeś czy nie chciałeś zgłębiać jej zjawisk, że wreszcie dalekim jesteś od myśli aby świat roślinny miał jakiekolwiek łączne ogniwa ze zwierzęcym. A jednak najpoważniejsi naszych czasów przyrodnicy, uznali już tę prawdę i według nich nie ma granicy oddzielającej oba te światy... W rzeczy samej istnieją w naturze takie organizmy, które dotąd są zagadkowemi, i nie wiedzą naturaliści czy je zaliczyć do flory czy też do fauny. Z tych uwag wypływa, że nie popełniam wcale herezyi potrącając o *obyczaje roślin*, i sądzę że usprawiedliwię tytuł, jeżeli czytelnik zechce przejść od nagłówka do treści.

Chcąc poznać charakterystykę drzew, potrzeba przenieść się na wieś, w lasy, gdzie krzewią się wspaniałe reprezentanty flory, imponujące człowiekowi kolosalnym wzrostem, bogatym liściem, i osłaniające go dobroczynnym cieniem. Dęby są majestatyczne, ba toż to króle i książęta leśnej roślinności, dziś jednak rozrastają się u nas liczniej drzewa iglaste, z wyjątkiem może Podola i Wołynia, gdzie po staremu panują lasy liścienne, gdzie sosna, jodła, modrzew, a rzadziej już cis się krzewi.

Nasze drzewa iglaste odróżniają się od siebie układem igieł. Sosna ma igły dwucalowe parzyste, to jest po dwie razem objęte pochewką, jodła posiada igły jednocalowe, płaskie pod spodem białemi paskami oznaczone, w modrzewiu znachodzimy już całe pęczki igieł, które corocznie znikają, czego nie napotykamy u innych drzew szyszkowych.

Powiedzielibyśmy że sosna wyobraża niewzruszoną powagę i spokój, które nadają pewną fizyjognomikę naszym lasom. Sosna wyrasta piramidalnie lub w postaci parasola, skromność i użyteczność są głównemi jej przymiotami. Powtarzam skromność, gdyż nigdy nie mizdrzy się drżącemi listkami jak osiczyna, wierzba lub topola, chociaż nęci wzrok ku sobie skromnisia, to jednak nie bez pewnej zalotności, wdzięk ma naturalny, nie potrzebuje więc błyszczeć sztucznemi czarami. Już to w ogóle drzewa iglaste czyli szyszkowe, są poważne, marzące, zadumane, niekiedy bardzo smutnie, czego mamy przykład na cisach i cyprysach. Do wspaniałości sosna zdaje się nie mieć żadnej pretensyi, nie goniąc wszakże za efektem, przejawia przecież wesołą swą postacią jakby przekonanie o własnej wartości. Ta wartość w rzeczy samej nie mała, toż człowiek korzysta z jej produktów: z terpentyny, żywicy, smoły, benzyny, zkwasu fenilowego i t. p. a przemysł i medycyna znajdują w niej dzielną pomocnicę. Już w starożytności oceniano te przymioty sosny, trzon jej posługiwał do wyrobu masztów, a żywica zabezpieczała statki od zepsucia w wodzie. Kronika zapisana na kartach botaniki powiada, że statek sosnowy pozostając przez 1500 lat w topielach morza, po wydobyciu go okazał się całkiem nieuszkodzony, co zawdzięczał bez wątpienia żywicy.

Zanim ludzie zastosowali łój i oliwę do oświetlania, służyły im pochodnie oblepiane żywicą sosnową, jakiej jeszcze gdzieniegdzie w tym celu dziś używają, jak naprzykład w królestwie Neapolitańskiem. Żywica wybornie zabezpiecza drzewo pozostawać mające przez długi czas w wodzie, a ta jej własność w żegludze morskiej i rzecznej jest nieoceniona.

Z licznych gatunków sosny zasługuje tu na wymienienie: *Sosna żywiczna* zwana też *morską*, krzewiąca się na południu Europy, *sosna leśna* właściwa krajom północnym, *korsykańska* dochodząca niepospolitej wysokości, *Weymoutha*, przewieziona z Ameryki przez lorda angielskiego tegoż nazwiska, nakoniec *sosna włoska*, rozłożysta, w postaci parasola który jej głowę uwieńcza.

Wdzięk i siła w połączeniu z powagą, są cechami charakterystycznemi sosny i świerku. W głębi lasów potrzeba podziwiać te malownicze drzewa, dochodzące często 120 stóp pol. wysokości. Sosny są ozdobą i bogactwem Rosyi i Polski, Szwecyi i Norwegii, Wogezów, Pirenejów, Alp i Czarnego lasu. Wpatrując się w stare świerki, tak przedziwnie odtwarzane przez Calama, toniemy w marzeniach; widok wspaniałych świerków karpackich wprowadza nas w zachwyt.

Z pośród drzew szyszkowych, jeden tylko modrzew, corocznie w porze zimowej traci igły. Drzewo to reprezentuje pewną dzikość; krzewi się często samotnie na wyżynach, nieprzystępnych jodłom, w górach, przedziwnie się też rozrasta w klimatach umiarkowanych. Modrzew dochodzi niekiedy olbrzymich rozmiarów, dosięga 18 stóp polskich grubości. Słynna belka modrzewiowa przywieziona do Rzymu z polecenia Tyberyjusza, użytą była przy budowie amfiteatru Nerona. Długość jej przechodziła sto dziesięć stóp, a obwód wynosił dwadzieścia stóp, już po ociosaniu. Nie ma żadnej wątpliwości, że z pośród drzew iglastych modrzew daje najtrwalszy materyjał budowlany. W dawnej Polsce dwory i dworki szlacheckie stawiano z tego drzewa, które przetrwało huragany czasu, składając wymowne świadectwo swej wytrwałości. Kronika botaniczna podaje wiadomość o okręcie zatopionym w morzu przed tysiącem lat, którego wszystkie deski modrzewiowe nie przedstawiały najmniejszego uszkodzenia; co więcej spoiły się z sobą tak silnie, że zaledwie je mogła odłączyć siekiera.

Nierównie mniej krzepkim jest cis z ciemno-zielonym liściem mięsistym, nigdy nie odpadającym. W górach europejskich, w północnej Azyi i Ameryce, jest on bardzo pospolity. Cis nie wytwarza wcale soków żywicznych, a tem samem nie wydaje żadnej woni, właściwej wszystkim innym drzewom szyszkowym. Liść jego trujący, wygląd smutny, zwykłym też jest towarzyszem mogił. Drzewo to utraca niekiedy swój charakter w skutek niedorzecznej interwencyi noża ogrodniczego, k'woli upodobaniom człowieka. — W ubiegłym stuleciu karykaturowano te drzewa w sposób najpocieszniejszy, czyniąc zadość fantastycznej modzie.

Z kolei przedstawia się nam smutny cyprys, drzewo będące symbolem smutku, sąsiadem grobów, na których się chętnie krzewi. Cyprys piramidalny pochodzi ze Wschodu, wzrasta głównie na wyspach archipelagu greckie-

go, żyje długo i służy wybornie do budowy czółen zwanych *pirogami*.

Słynnym jest cyprys meksykański w Santa-Maria, którego pień ma sto czterdzieści stóp w obwodzie. Wieść niesie, że pod tym olbrzymem armija Ferdynanda Korteza wyruszająca na zdobycie Meksyku, znalazła schronienie przed burzą.

Egipcyjanie budowali z cyprysu okręty i skrzynie, służące do przechowywania mumij. Pierwotne drzwi ś. Piotra w Rzymie, z tegoż drzewa wyrobione, przetrwały tysiąc sto lat bez uszkodzenia.

Ileż wspomnień obudza w nas cedr libański! Niegdyś za czasów Salomona, na tej wyniosłej górze drzew tych było niezliczone mnóstwo, dziś wieńczy stare jej czoło zaledwie siedm okazów, pochylonych od starości, skołatanych od huraganów. Przed wiekiem jeszcze jakiś wędrowiec naliczył tam do stu tych drzew, z których dziś pozostały zaledwie szczątki. Natomiast przepyszne lasy cedrowe znajdujemy w Azyi Mniejszej, gdzie mięszają się z dębami, jodłami, cisami, drzewami mirtowemi, laurowemi i oliwnemi, które wszakże pod względem piękności muszą im ustępywać pierwszeństwa. Cedr biorąc od jodły gałęzie poziomo wygięte, od sosny włoskiej szeroką koronę liściem uwieńczoną, łączy w sobie surową powagę drzew szyszkowych, z okazałą majestatycznością dębów; silnie wygięte jego gałęzie, rysują się na horyzoncie dziwacznie, fantastycznie, lecz zarazem i malowniczo.

Cedr należy do wyniosłych drzew w przyrodzie, pień jego dochodzi 130 do 140 stóp pols., wszystko w nim cechuje siłę: pień, barki i głowa. Jedno z tych drzew użyte było do budowy galery Demetryjusza, liczącej jedenaście rzędów wioseł, a sto trzydzieści stóp długiej. Marnotrawny Kaligula budował z cedrów słynne okręty liburnijskie, mieszczące w sobie portyki, pokoje kąpielowe, komnaty wysadzone drzewami pełnemi owoców. — Okręty te całe były zarysowane przepysznemi malowidłami, wykładane złotemi i drogiemi kamieniami.

Potwornej rzec można wielkości dochodzi Welingtonija, zwana też *drzewem mamutowem*, w obec niej olbrzymie nawet cedry wydają się karłami.

Owego mamuta roślinnego wykrył w Kalifornii na Sierra-Newadzie, w bliskości rzeki ś. Stanisława i ś. Antoniego, przyrodnik Lobb. Wysokość Welingtonii dosięga 400 stóp pol., korę ma grubą 18-calową, koloru cynamonowego, tkankę barwy czerwonawej. Drzewo to żyć może 30 lub 40 wieków, jak o tem przekonywają jej słoje współśrodkowe. W San Francisco ścięto jedną taką Welingtoniję, wydrążono wewnątrz i urządzono w niej pokój wybity kobiercami, poczem wniesiono krzesła i fortepijan. Czterdzieści osób bawić się mogło doskonale w tem zaimprowizowanem pomieszkaniu. Mamut roślinny do połowy swej wysokości ogołoconym jest całkiem z liści, które natomiast już wyżej przyodziewają bogato grube i rozłożyste jego gałęzie.

Z podanej tu charakterystyki i własności drzew szyszkowych, możemy widzieć jawnie, nieporównaną ich użyteczność. Są one reprezentantami powagi, siły i wdzięku, nie popełniają żadnych nadużyć, jak niektóre inne rośliny, których korzenie chłonąc wilgoć z ziemi, głuszą tem samem życie krzewów w szerokim do koła promieniu. Obyczajom też ich nie możemy zarzucić nic zdrożnego. Zwróćmy się myślą ku strefom gorącym, spotkamy tam świat roślinny w całkiem odmienne przyodziany szaty.

Pod ognistem niebem Afryki i w całym pasie zwrotnikowym, wzrasta palma, wytwornisia niepospolita, ozdabiająca swe czoło, pióropuszem z liści pierzastych. Arab powiada w właściwym mu obrazowym języku, że palma *ma głowę w ogniu a nogi w wodzie*, i nie można temu określeniu odmawiać trafności, gdyż drzewo to w istocie potrzebuje nietylko upałów słonecznych, ale nadto gruntu wilgotnego. Z tego też względu w klimacie którego średnia temperatura jest niższą od 20 stopni Celsyjusza, palma krzewić się nie może.

Palma poważaną jest wielce na Wschodzie, i to jej poszanowanie jest najzupełniej usprawiedliwionem; każda bowiem cząstka włókna palmy, przynosi korzyść człowiekowi. Twarda niezmiernie tkanka służy wybornie do wyrobu strzał, owoc daje smaczne pożywienie, tak zwane *mleko kokosowe*, z łupin kokosu wyrabiają sznury i nici, z rdzenia palmy sagowej, otrzymują kaszę zwaną *sago*, z soku palmy krajowcy pozyskują wino, cukier i alkohol, a z wytłoczyn ziarna, olej, mydło i masło. Palma woskowa daje wosk, katechowa dostarcza materyi garbnikowej zwanej *katechu*. Sok wreszcie sączący się z kory, dostarcza leku pomocnego w wielu chorobach. Do najpiękniejszych gatunków tego drzewa, należy niezaprzeczenie *palma daktylowa*. Łuszczykowata jej łodyga wznosi się do wysokości 60 lub 80 stóp. Głowę tego drzewa tworzy pęk liści pierzastych, dochodzących 10 lub 12 stóp pols., kwiat przedstawia się w postaci wspaniałego bukietu zwanego *kolbą*. W cztery lub pięć miesięcy po okwicie, owoce dochodzą zupełnej dojrzałości, tworzą grona z których każde waży od 20 do 40 funtów. W starożytności liście palmy poświęcano bohaterom, a w pierwszych wiekach chrześcijaństwa były one symbolami męczeństwa. W Afryce północnej palma tworzy przepyszne lasy, wraz z drzewami cytrynowemi, pomarańczowemi i granatowemi, które niby olbrzymie kadzielnice, wyziewają aromatyczne wonie, pod tem niebem wiecznie szafirowem. Z owoców tego drzewa starożytni otrzymywali miód zwany *daktylowym*, dziś z soku jego mają alkohol i wino. To otrzymuje się w bardzo prosty sposób. Gdy palma zestarzeje się i przestaje owoc wydawać, nacinają ją przy wierzchołku, a niżej zawieszają naczynie w które spływa płyn przedziwnego smaku. Z liści tej palmy wyrabiają koszyki, z włókna drzewnego sznury, nawet ze szczątków starych palm skorzystano, służą one za materyjał opałowy.

Palma sagowa krzewi się w podrównikowych krajach Afryki i Azyi. Sago jest rdzeniem trzonu; stanowi ono pożywienie wzmacniające dla dzieci i starców. Palma kokosowa wydaje najpierw owoc zielonawy lub fioletowy, zawierający w sobie jądro twarde, białe, obejmujące płyn mleczny bardzo smaczny. Nie możemy oceniać smaku tych owoców z gatunków przesyłanych Europie, gdyż zmieniają się one w bardzo krótkim czasie. Chcąc poznać ten przysmak, należy owoc spożywać na miejscu w porze jego dojrzałości; palma kokosowa kąpie się w palących promieniach słońca, liść jej daje cień, owoc pożywienie, włóknik odzież. Czegóż więcej od niej pożądać?

Palma trzcinowa dosięga bajecznych wymiarów, długość jej dochodzi bowiem 500 stóp polskich; powtarzam długość nie zaś wysokość, gdyż roślina ta pełza po ziemi lub za wiesza się na drzewach, przerzucając się z jednego na drugie.

Niekiedy łodygi jej tworzą z liśćmi tak gęstą siatkę, że nawet owad przedrzeć się przez nią nie może. Drzewo to dostarcza trzciny do trzepania sukien, służy też do wyrobu sznurówek i wyplatania mebli.

Do rodziny tej, należy jeszcze osobliwszy krzew: *Koryf malabarski*, który przedstawia się w postaci olbrzymiego parasola zieleni, mieszczącego trzon wysmukły. Szerokość tego parasola dochodzi 5 stóp, a pod jego cieniem dwadzieścia osób może znaleść osłonę od deszczu lub słońca. Koryf raz tylko w życiu owocuje. Gdy dojdzie poważnego wieku lat czterdziestu, w koronie jego wyrasta liść zwinięty w rożek z którego rozwija się drobnostka, *coś około dwudziestu tysięcy kwiatów*, tworzących olbrzymie skupienie. Z kwiatów tych występują owoce, którym potrzeba do dojrzenia aż czternastu miesięcy. Potem koryf wyczerpany z sił, więdnieje, usycha i zamiera. Możnaby go wówczas porównać do tej niebacznej młodzieży, którą szafarstwo nieoględne sił, doprowadza do przedwczesnej starości.

Na rozpalonych piaskach stref zwrotnikowych, krzewić się może jedna tylko rodzina roślinna: *kaktusy* urągające upałom i huraganom.

Pospolicie rośliny do utrzymania swego bytu potrzebują koniecznie ciepła i wilgoci. W przesyconej mgłami atmosferze wieków geologicznych, rozradzały się licznie sygilaryje, stygmaryje, widłaki, skrzypy i paprocie, o których przepysznym rozwoju, mogą nam dawać zaledwie słabe wyobrażenie, pokłady węgla dziś eksploatowanego w kopalniach. Nic podobnego nie istnieje w życiu kaktusów. Dziwne te krzewy, plenią się na piaskach jałowych, w rozpadlinach skał pozbawionych próchnicy, na ziemi prażonej przez dziewięć miesięcy prostopadle na nią padającemi promieniami słońca, co im nie przeszkadza bynajmniej wydzielać tak obfite soki, że z tego źródła czerpać mogą wodę tak podróżni jak nie mniej i dzikie zwierzęta.

W porze suszy, gdy życie gaśnie w pampasach spalonych od słońca, gdy aligatory zanurzają się w mule głębokich bagnisk, i we śnie pogrążone wyczekują deszczu, dziki osieł stałby się pastwą głodu, gdyby nie kaktus opatrznościowy. Zwierz twardem kopytem przebija mięsiste, kolczaste włókno kaktusa dyniowatego, i wysysa zeń płyn orzeźwiający.

Kaktusy we własnej swej tkance znajdują dostateczny zapas pożywienia, a nadto wodę nigdy nie parującą. Stąd też ogołocone są

z liści i gałęzi bocznych, z pomocą których inne rośliny wydzielają wodę w postaci pary. Osłonięte korą łykowatą prawie nieprzemakalną, złożoną z chrząstkowatych komórek, kaktusy nie dozwalają promieniom słonecznym przedzierać się do ich tkanki wewnętrznej.

Dziwacznym jest wygląd kaktusów, wyniosłych na 40 lub 50 stóp, sztywnych, okurzonych, pokrytych kolcami i strzępami włoskowatemi. Jedne z nich posiadają niezliczone gałęzie krótkie i spłaszczone, drugie bywają pogięte w wężowate pierścienie, inne znowu wykoszlawione cudacko, podobne są do zwierząt drapieżnych, czyhających w zasadzce. Widząc z daekla te krzewy, rysujące się fantastycznie w perspektywie, wędrowiec strwożony, zatrzymuje się nie wiedząc czy dalej ma iść drogą, czy się cofnąć. Prawie wszystkie kaktusy obdarzone są straszliwemi kolcami, które im zastępują liście. Kolce te cienkie, łamliwe, kryją się w pękach włochatych lub w puchu jedwabistym. Drapieżne są obyczaje tych roślin: za dotknięciem choćby najmniejszem, wpijają się w skórę i w niej kruszą, wywołując w ciele człowieka czy zwierzęcia bolesne zapalenie. U niektórych kaktusów igły te są tak mocne i ostre, że nieraz przebijają bawołu, który w biegu nieba- cznie na nie wpadnie.

Z broni ich potrafił skorzystać człowiek; kolce posłużyły mu do budowy żywopłotów. Takie szańce z kaktusów na wyspie ś. Krzysztofa urządzili Anglicy i Francuzi, w celu odgraniczenia swych posiadłości. d. n.

FELIKS MENDELSSOHN BARTHOLDY.

Kilka szczegółów z życia mistrza

przez

H. Pfeila.

przełożył z niemieckiego

F. Strauch.

Feliks Mendelssohn Bartholdy urodził się dnia 3 lutego 1809 r. w Hamburgu, gdzie był kupcem ojciec jego Abraham, syn filozofa. Muzykalna matka (Lea) udzielała chłopcu początki nauk muzyki na fortepijanie. W r. 1812 rodzina Mendelssohnów przesiedliła się do Berlina i tu młody Feliks do dziewiątego roku życia uczęszczał do szkoły elementarnej. Wybornego nauczyciela domowego miał w filologu Heysem, artystycznem zaś jego kształceniem, zajmowali się: L. Berger nauczyciel fortepijanu i Karol Fryderyk Zelter wykładający kompozycyją. Oprócz tego wirtuozi Drouet, Boucher a później Moscheles, wywarli wpływ na muzykalny rozwój chłopca. Już w wrześniu 1820 r. nie mając jeszcze skończonych lat 12 napisał Feliks w ciągu paru tygodni operę, do której dr. Kaspar tekst opracował. Zaledwo zaś w rok później napisał dwie inne opery i trzecią do połowy doprowadził. Niezależnie od tego przygotował cztero i pięciogłosowy psalm z wielką podwójną fugą dla akademii, sześć symfonij, kwartet na fortepijan i smyczkowe instrumenta; kantatę, sześć fortepijanowych fug, tudzież liczne sonaty i pieśni. Zelter nadzwyczajnemi postępami swego ucznia tak był uradowany, że w jesieni 1821 roku składając wizytę Goethemu, dwunasto-letniego ucznia temi mu słowy przedstawił: „Mojej Dorydziei mojemu najlepszemu uczniowi pragnę pokazać twoję twarz, nim zejdę z tego świata.“ O tej wizycie i pierwszej znakomitej próbie z jaką popisywał się Feliks w obec księcia poetów w Weimarze, tak mówi współczesny L. Rellstab: „Fortepijan był otworzony, świece stały na pulpicie, młody Mendelssohn miał grać. Przedewszystkiem zapytał Zeltera ku któremu synowskie miał przywiązanie, coby mu wybrać należało? „Zagraj to co umiesz i co ci nie będzie trudnem,“ odpowiedział nauczyciel. Po niejakim namyśle zgodzono się żeby Feliks swobodnie fantazyjował, prosił on jednak znowu Zeltera o temat. Zelter więc usiadłszy przy fortepijanie; sztywnemi swemi rękoma (miał kilka palców bezwładnych) wykonał bardzo prostą pieśń z *G-dur* w tryjolowych poruszeniach. Pieśń ta mogła mieć szesnaście taktów. Feliks powtórzył ją następnie nic nie przemieniając, ale przy tryjolowej figurze kilka razy obiema rękoma wprawił swe palce w kolej głównej figury, aby w niej mimowolnie się poruszały, a zaraz potem zaczął w najdzikszem allegro. Łagodna melodyja stała się burzliwą figurą którą brał to basem, to wyższym głosem i pięknemi kontrastami przeprowadził. Całe grono zebranych ogarnęło zdziwienie; mała rączka chłopca pracowała w massach tonów, opanowywała najtrudniejsze kombinacyje; passaże toczyły się, perliły i wzlatywały tchnieniem eterycznem; strumień harmonii lał się, zdumiewające kontrapunkty między niemi się rozwinęły; melodyja tylko mało była uwzględnioną i mało przemawiała w tem burzliwem morzu dźwięków. Z taktem właściwym sobie już wtenczas, nie przeciągnął młody artysta swej gry za długo. Tem większe też było wrażenie i zapanowało milczenie głuche, gdy po energicznem poruszeniu akkordu zakończenia, zdjął ręce z klawijatury by im dać odpoczynek. Zelter był pierwszym który przerwał ciszę, odezwawszy się głośno: „No, pewno marzyłeś o Koboldzie i smokach; bo poszło raźnie i zamaszysto!“ Goethe pełen najgorętszej radości, uściskał małego mistrza po przyjacielsku i żartobliwie wyrzekł: „To jeszcze nic, jeszcze się niezałatwiłeś! musisz nam coś więcej zagrać, zanim cię zupełnie wyzwolimy!“ „Cóż więc mam jeszcze zagrać,“ zapytał Feliks. Goethe wielkim był miłośnikiem fug Bacha; zażądał więc zagrania jednej z fug jego. Chłopiec jakkolwiek zupełnie nieprzygotowany, wyszedł i z tej próby zwycięsko. Radość Goethego wzrastała; żądał zagrania menuetu. „Czy mam wybrać najpiękniejszy jaki istnieje na świecie?“ zapytał młodzieniec z błyszczącemi oczyma. „Dobrze, ale któryż to taki?“ Feliks zagrał menueta z *Don Juana*. Goethe stał ciągle przy instrumencie przysłuchując się, a radość jaśniała w rysach jego twarzy. Po menuecie poprosił o uwerturę z tejże samej opery; ale tej, mały gracz wręcz odmówił z uwagi, że nie daje się tak wykonać jak jest napisaną, a zmieniać w niej nic nie można. Za to ofiarował uwerturę z *Figara*. Zaczął ją ze zdumiewającą lekkością ręki, pewnością, okrągłością i jasnością w pasażach. Wykonywał przytem effekty orkiestrowe, dał poznać tyle odcieni w instrumentacyi przez połączone lub wyraźnie uwydatnione głosy, że wrażenie było porywające. Goethe coraz więcej stawał się weselszym, przyjaźniejszym, żartował i drażnił się z pełnym ducha i życia młodzieńcem. „Dotąd, rzekł, grałeś sztuki które dobrze znałeś, zobaczymy, czy potrafisz zagrać coś z tego, czego nie znasz, wystawię cię na próbę.“ Wyszedł i po kilku minutach wrócił z paką pisanych nut w ręku. „Oto, coś z mego zbioru rękopismów. Teraz próbować cię będziemy.... Czy potrafisz to odegrać?“ rzekł Goethe i położył na pulpicie kartę z napisanemi jasno, ale drobnemi nutami. Był to rękopism Mozarta. Feliks zapalił się radością zobaczywszy to nazwisko i zagrał od razu z całą pewnością siebie z karty niełatwego do czytania rękopisu. „To jest jeszcze nic, zawołał Goethe, to i inni czytać umieją. Teraz dam ci coś takiego, nad czem się zastanowisz; miejże się na ostrożności!“ Z tym żartobliwym tonem, wyciągnął inną kartę i położył ją na pulpicie. Wyglądała ona rzeczywiście oryginalnie, bo ledwo można było rozpoznać, czy to nuty czy też tylko linijowana, pobryzgana atramentem a w wielu miejscach poprzemazywana karta. Feliks na jej widok rozśmiał się zdziwiony. „Jakże to jest napisane. Jakże to czytać?“ zawołał. Nagle jednak stał się poważnym, bo gdy Goethe rzekł:

„Zgadnijże też, kto to pisał?“ ozwał się już Zelter przypatrujący się z tyłu przez ramiona siedzącemu przy instrumencie chłopcu: „O! to pisał Beethoven. To można odrazu poznać. Pisze on zawsze patykiem i rękawem zaciera!“ Owóż tedy, przy wymienieniu nazwiska *Beethoven*, Feliks stał się poważnym; ba jeszcze więcej niż poważnym. Święte zdumienie czytać było można z jego twarzy, patrzał się z przejęciem na manuskrypt i zachwyt jaśniał w jego rysach. Wszystko to trwało tylko kilka sekund; Goethe bowiem chciał ostrą graczowi zadać próbę i żadnego mu czasu do przygotowania się nie zostawić.

„Widzisz“ zawołał! czy ci nie powiedziałem, że się zastanowisz; teraz probuj i pokaż co umiesz!“ Feliks zaraz grać zaczął. Była to prosta pieśń, ale żeby ją z wykreślonych na wpół wymazanych nut wydostać, potrzeba było rzadkiej biegłości i pewności rzutu oka. Przy pierwszym przegraniu śmiejąc się wskazywał często palcem Feliks właściwą nutę której trzeba było szukać w innem wcale miejscu, i niektóre pomyłki w uderzeniu, z prędkiem „nie tak“ poprawiał.

Potem ozwał się: „teraz przegram to panom“ i tym drugim razem ani mu jednej nie zbrakło nuty. „To jest Beethoven, zawołał razu jednego, gdy napotkał passaż melodyjny, który mu się zdawał znamionować właściwość artysty; to jest Beethoven, po tem poznałbym go wszędzie!“ Na tej próbie Goethe poprzestał, uważając ją za dostateczną. Ukrywał swą pochwałę pod drażniącym żartem, ale można było widzieć jak żywą uczuł radość z tryjumfu chłopca. W jesieni przybył do Berlina słynny fortepianista i dał koncert, po ukończeniu którego, ku uczczeniu Hummla i Moschelesa, zebrało się małe grono w domu Mendelssohna. Naturalnie zajmowano się muzyką; Moscheles i Hummel odegrali parę podziwienia godnych sztuk. Pośród słuchaczów znaj-

dował się Feliks, który grę mistrzów z zapałem podsłuchiwał.

Wtedy wstał stary Zelter i położywszy ręce na barkach młodego ucznia, rzekł: „Chodź Feliksie, pokaż teraz czego się nauczyłeś a pamiętaj nie zrób nam nauczycielom wstydu. Usiądź i graj co ci na myśl przyjdzie.“ Chociaż wszyscy obcy goście tej propozycyi przytakiwali, oświadczył jednak Feliks stale i stanowczo, że nic grać nie będzie. Odmowa obudziła powszechne zadziwienie.

„Co ci się stało chłopcze,“ zawołał Zelter, czy cię ogarnęło drżenie febryczne od hucznych strzałów dział, czy nie występowałeś bez żadnej obawy na wielkich koncertach i przed naszym Goethem w Weimarze? Cóż więc mam mu napisać o tobie? może, żeś się stał tchórzem?“ „Ach, wtedy jeszcze dobrze nie wiedziałem com czynił, odpowiedział Feliks; teraz wiem już, że po tych, wskazał Hummla i Moschelesa, grać nieumiem i nie mogę.“ W kilka dni później przyszedł znowu Moscheles do domu Mendelssohna, jako nauczyciel obojga starszych jego dzieci Fanny i Feliksa. W r. 1825 bawił ojciec Mendelssohna z swym synem w Paryżu, aby otrzymać zdanie Cherubiniego, czy Feliks ma się poświęcić wyłącznie muzyce. Odpowiedź wypadła potwierdzająco. Z powrotem Mendelssohn odwiedził Goethego i Feliks zaprodukował swój najnowszy, staremu wieszczowi poświęcony *H-moll* kwartet. Feliks starał się także o naukowe wykształcenie i oswojenie się z klassyczną literaturą Greków i Rzymian.

Owocem jego starań było przetłómaczenie *Andryi* Terencyjusza o czem Goethe, gdy mu podane było do przeczytania, tak do Zeltera napisał: „Proszę, najpiękniej podziękować, dzielnemu, czynnemu Feliksowi za wspaniały egzemplarz poważnych estetycznych studyjów; jego praca będzie dla wejmarskich przyjaciół sztuki, prawdziwie nauczającą podczas przyszłych wieczorów zimowych zabawą. W latach 1822 i 1827 napisał Mendelssohn szereg znakomitych kompozycyj. Do najpierwszych zaliczyć trzeba powyżej wspomniony *H-moll* kwartet, Oktet i *Ouverture zum Sommernachtstraum.* W r. 1827 wstąpił do uniwersytetu, zawsze jednak wiernym pozostał muzyce; co większa doprowadził w berlińskiej akademii śpiewu, spoczywającą już prawie sto lat, wielką muzykę passyi Jana Sebastyjana Bacha do przedstawienia; przedsiewzięcie, które jego nauczyciel Zelter uznał był za niemożebne.

W tymże samym roku odbył Mendelssohn podróż do Anglii i dostąpił na koncertach towarzystwa miłośników muzyki w Londynie świetnych rezultatów, tak pewnością swego dyrygowania, jako też swemi kompozycyjami. Szczególniej zyskała nadzwyczajne zadowolnienie odegrana pierwszy raz przy tej okazyi *Ouverture zum Sommernachtstraum.* Były to dni nader błogie, jakie Mendelssohn w Londynie przepędził. Przebywał tam w domu swego nauczyciela i przyjaciela Moshelesa a kółko duchem spowinowaconych (między którymi znajdował się znany poeta Klingemann) obdarzyło go swoją szczerą sympatyją. Z Londynu Mendelssohn udał się z swym przyjacielem do



Dziecko nad książką.

Szkocyi, i tutaj legendę jaskini Fingala przybrał w muzykalną nutę. Gdy Mendelssohn z Szkocyi powrócił i w domu w gronie swoich ulubionych opowiedział o uroku jaskini Fingala, prosiła go siostra Rebeka: „Opowiedzże nam, jak wyglądała“ a Fanny dodała żartując: „Ale to musi być długa porządnie historyja, że się pojmuje gdzie i jak!“ Na to odpowiedział Mendelssohn: „Uważajcie, zwyczajnemi wyrazami nie daje się to opisać, a wy wszak wiecie, że ja nie jestem poetą; będę wam więc to grał, a potem mi powiecie, czy wszystko dokładnie widziałyście i pojęłyście!“ Powiedziawszy usiadł przy fortepijanie i grał ów cudowny temat, bajeczny, który później na uwerturę przerobił i *Hebriden ouverture* nazwał. Rok 1830, 1831 i 1832 przepędził Mendelssohn we Włoszech, w Szwajcaryi, Francyi i Anglii. Z napisanych w owym czasie kompozycyj, wymieniamy tutaj: Kantatę *Walpurgisnacht, G-moll koncert H-moll Capriccio, A-dur* symfonię i pierwsze *Lieder ohne Worte* (Pieśni bez słów). Listy z tej trzyletniej wędrówki wydrukowane zostały p. t. *Reisebriefe von Feliks Mendelssohn-Bartholdy aus den Jahren 1830 bis 1832.* Listy te odznaczają się i treścią i formą i świadczą: „jak doskonale pełna charakteru natura i sztuka artysty Mendelssohna wzajemnie się splotły, przyjęły i obwarunkowały.“ W jesieni 1833 przeniósł się Mendelssohn do Düsseldorfu dokąd na miejskiego dyrektora muzyki powołany został. Lata które tam z Immermanem, malarzem Hildebrandem, Lessingiem i innymi artystami przepędził, liczą się do najszczęśliwszych w jego życiu. Jako główne dzieło tego czasu, zaznaczyć należy kompozycyją oratorium *„Paulus“* najważniejszy utwór Mendelssohna, który pierwszy raz na *„Niederrheinischen Musikfeste“* (22 maja 1836) przedstawiony został. Stosunki düsseldorfskie krótko trwały; Mendelssohn przesiedlił się w jesieni 1835 do Lipska i przyjął tutaj dyrekcyją koncertow tak zwanych *Gewandhaus-koncerte,* które za jego przyczyną sławy europejskiej dostąpiły.

W r. 1837 ożenił się Mendelssohn z Cecyliją Jeanrenaud, córką kaznodziei w Frankfurcie nad Menem i w tymże roku i w następnych trzech latach powstało wiele jego kompozycyj jak np. Koncert z *D-moll* na fortepijan, 42, 95 i 114 psalmy, Trio z *D-moll,* sonata dla Cello z *B-dur,* fugi organowe, pieśni na jeden lub więcej głosów śpiewnych, i kantata symfoniczna *„Lobgesang.“* Ta ostatnia kompozycyja wykonaną była na uroczystości obchodu czwartego stulecia wynalezienia sztuki drukarskiej, w obecności króla Fryderyka Augusta Saskiego, który artystę w r. 1841 swoim kapelmajstrem zamianował. Powołany przez Fryderyka Wilhelma IV do Berlina, napisał tam Mendelssohn muzykę do *Antygony,* nie czuł się tu jednak zadowolonym i dopiero odżył, gdy w r. 1842 powrócił do Lipska i dyrekcyją koncertów Gewandhausu objął na nowo. Na tem stanowisku urzeczywistnił przy pomocy króla saskiego, długo karmioną ulubioną ideę założenia muzycznego konserwatoryjum, w którem utalentowani uczniowie, dokładne wykształcenie swych zdolności muzykalnych znaleśćby mogli. W r.1843 powtórnie przez

króla Fryderyka Wilhelma IV powołany został do Berlina, gdzie tytuł generalnego dyrektora muzyki otrzymał i dyrekcyją muzyki kościoła katedralnego i koncertów symfonicznych objął. Pomimo wielu odznaczeń jakiemi go zaszczycono, opuścił Berlin 1844 r. i znowu wrócił do swego dawnego zajęcia w Lipsku. Aby jednak okazać królowi Fryderykowi Wilhelmowi swoją wdzięczność, napisał muzykę do „*Oedipus auf Kolonos*“ i do „*Athalia.*“ W rok później dokończył Mendelssohn oratoryjum „*Elias*“ które pierwszy raz 25 sierpnia 1846 r. w Birmingham wykonane było i kółko jego wielbicieli znacznie rozszerzyło. Z tego muzycznego obchodu w Birmingham opowiadają fakt, świadczący o bystrości umysłu Mendelssohna i wielkiej twórczości jego. W ostatni dzień obchodu, zamyślano grać sztukę muzyczną utworu Händla. Koncert się już rozpoczął, gdy spostrzeżono, że brakowało małego recitativo poprzedzającego właściwy hymn koronacyjny, które publiczność miała w księgach tekstu. Dyrektorowie obchodu więc z tego powodu w wielkim byli kłopocie. Mendelssohn który w blizkości się znajdował, usłyszawszy o tem, powiedział: „Czekajcie, ja wam pomogę!“ Usiadł i w ciągu półgodziny recitativo wraz z głosami chóralnemi napisał. Natychmiast je przepisano, głosy na mokro jeszcze rozdano, bez żadnej próby.

Zanadto wstrząśnione i wielą wysiłkami znużone życie nakazywało artyście oszczędzenie się i lekarz wzbronił mu występów publicznych. Pomimo tego, przyjął po wielu namowach, przewodnictwo prób ostatnich przedstawienia, swego: „*Paulus*“ które miało miejsce w Wielki piątek 1847 r. w kościele Paulinów w Lipsku. Udał się także podług danego przyrzeczenia, bezpośrednio po tym kościelnym koncercie, do Anglii, by w Londynie przewodniczyć wykonaniu swego „*Elijasza.*“ Z powrotem doszła go we Frankfurcie nad Menem wiadomość o zgonie swej siostry Fanny z którą od pierwszych lat młodości w najściślejszych żył stosunkach. Ta strata tak silnie nim wstrząsnęła, że jakby paraliżem tknięty, upadł na siłach i umyśle. Podług zdania lekarzy naczynie krwionośne pękło w jego mózgu; to też od owego czasu ciągle uskarżał się na mocny ból głowy i zbliżającą się śmierć przeczuwał.

Pomimo osłabienia miał jeszcze chęć do utworzenia czegoś wielkiego; dwa wielkie dzieła głównie go teraz zajmowały: oratoryjum „*Chrystus*“ i opera „*Lorelei.*“ Z oratoryjum mamy tylko kilka sztuk, opera zaś jedynie do końca pierwszego aktu doprowadzona była. Oprócz tego napisał wtenczas jeszcze dwa smyczkowe kwartety z *F-moll* i *D-moll* i kilka mottetów i pieśni. Dnia 9 października przyniósł Mendelssohn jednej przyjaciółce swojej nowy poszyt pieśni. Wprawdzie po tym ataku jeszcze raz przyszedł do siebie, ale d. 3 listopada nastąpił paraliż nerwów, który chorego zmysłów pozbawił a o godzinie 9 wieczorem tegoż dnia 1847 r. skończył życie wielki artysta. W całych Niemczech i w Anglii pamięć jego czczono żałobnemi uroczystościami.

LAOKOON.

Laokoon syn Antenora czy też Akoitesa, kapłan thymbrajskiego Apollina czy też Poseidona w Troi, ostrzegał Trojańczyków o niebezpieczeństwie, grożącem im od drewnianego konia i z tego powodu został z dwoma synami zabity przez dwa ogromne węże, nasłane nań przez zagniewaną Minerwę. Podanie to ma znakomite znaczenie z powodu słynnego dzieła rzeźbiarskiego znalezionego r. 1506 pod Sette-Sala w okolicy Rzymu, przedstawiającego śmierć Laokoona i dwu jego synów a umieszczonego przez papieża Julijusza w zbiorach Watykanu. Utwór ten zwany grupą Laokoona, przedstawiony w drzeworycie na str. 737 niniejszego numeru „Opiekuna,“ wykonany przez rzeźbiarzów Agezandra, Polidona i Atenodora z Rhodu, należy do najcelniejszych dzieł sztuki klasycznej. Wedle O. Müllera przedstawia on trzy akty tragedyi. Podczas gdy starszy syn, będący jeszcze jakoby w możności ratować się ucieczką, wyobraża początek akcyi a młodszy zginął już w uściskach wężów, w ojcu, figurze środkowej, uwydatnia się energija i pathos, koncentruje się straszny moment, pełen wzniosłości i grozy. Wykonanie całości jako też wszystkich części zaleca się nieporównanem mistrowstwem. Co do czasu powstania gruppy Laokoona nie ma dotąd zgody. Jedni odnoszą ją do kwitnącej epoki szkoły rodyjskiej, inni zaś do pierwszych czasów imperyjum rzymskiego.

ŚLADY ŻYCIA.

XLVIX.

Tyle życia ile w czynie.

Koncert na dochód niezamożnych studentów warszawskiego uniwersytetu, zebrał tego roku tak wielkie tłumy publiczności, jakich nigdy jeszcze dotąd Sale Redutowe nie oglądały. Na długo przed rozpoczęciem wszystkie bilety były już rozkupione, a ciągle jeszcze przybysze nowi pragnęli ofiarować stosunkowo znaczne kwoty za to, żeby się dostać do sali. Zacny cel koncertu był tu jednym z ważnych pobudek, ale wyborowy program nie mało także przyczyniał się do powodzenia. W koncercie przyjęły udział najpierwsze siły artystyczne: panie Friderici-Jakowicka i Dowiakowska, pp. Fileborn, Cieślewski i Wasilewski w części wokalnej, p. Gorski w części instrumentalnej, a pani Modrzejewska i pp. Królikowski i Żółkowski w części deklamacyjnej. O pięknym i czystym głosie i znakomitej szkole śpiewu p. Friderici-Jakowickiej mówiliśmy już niedawno. Niepotrzebujemy tu już więcej mówić, jak dalece chętny jej udział w tak szlachetnym celu przyczynił się do uświetnienia koncertu. P. Królikowski zelektryzował publiczność wypowiedzeniem ustępu z pieśni Pola, odkrywając w niem piękności, na jakie czytelnik nie zwróciłby nawet uwagi; a p. Żółkowski do pięknej harmonii serdecznych dźwięków dodał nutę nieporównanego artystycznego humoru. P. Modrzejewska jak zwykle, deklamacyją swą wzruszyła głęboko słuchaczów. Młody amator p. Chodakowski złożył też swe wokalne siły na ołtarzu dobra ogólnego.

* * *

Skoro tak świetnie powiódł się koncert na rzecz studentów uniwersytetu, możemy być pewni że uda się w zupełności koncert na dochód niezamożnych uczniów gimnazyjów warszawskich, na dzień 12 b. m. naznaczony.

Urządzeniem i wykonaniem tego koncertu zajmuje się p. Münchejmer, chętnie zawsze ofiarujący swoje usługi, gdy idzie o pomoc uczącej się młodzieży. Program będzie obfity i urozmaicony.

* * *

Jakież to szczęście dla domu, gdy mu przywodzi dzielna, pobożna niewiasta, ale jakie znów spada nań utrapienie, gdy rządy zostają w ręku dewotki. Kobieta *pobożna* i *dewotka* to synonimy prawie, a jednak w naszym przynajmniej języku, ogromna między niemi różnica. O ile trudno spotkać prawdziwie pobożną niewiastę, o tyle dewotek nie brak prawie we wszystkich warstwach społecznych, a mianowicie też w tak zwanym *wielkim świecie.* Społeczeństwo nasze długi czas wolne było od świętoszków rodzaju żeńskiego, lecz obecnie, idąc za modą z Paryża, znajdziesz ich pod dostatkiem w wielu miejscowościach polskich, nawet w Warszawie, która nigdy pod tym względem zbytecznie nie grzeszyła. Dziś należy do dobrego tonu być dewotką. O tej dewocyi, czyli *nabożeństwie*, polegającem głównie w zewnętrznem stosowaniu się do przepisów religijnych, wyborna wyszła u nas, przyswojona z francuzkiego książka p. t. *Nabożeństwo osób wielkiego świata.* Autorka należąc sama do sfer arystokratycznych, śmiało i dowcipnie wypowiada towarzyszkom swoim całą niedorzeczność postępowania dewotki, i podaje zarazem sposoby, jak można połączyć prawdziwą z serca i wiary płynącą pobożność z obowiązkami towarzyskiemi, a w szczególności z obowiązkami dobrej żony, matki i pani domu. Książka poczciwych tendencyj i zajmująco napisana. Za przyswojenie jej naszej literaturze słuszne należą się dzięki p. Maryi S. która pięknym i poprawnym językiem wypowiedziała myśli autorki.

* * *

Od Nowego Roku przyszłego, przybędą nam w Warszawie trzy nowe organy publiczne: „*Ateneum*“ pod redakcyją p. Hermana Benni, lektora języka angielskiego w uniwersytecie warszawskim i redaktora odpowiedzialnego Kuryjera Warszawskiego, będzie miesięcznikiem poważnym literacko-naukowym, uwzględniającym przedewszystkiem filozofiję i krytykę; „*Biesiada Literacka,*“ pismo literackie, polityczne, illustrowane, własność p. Gracyjana Ungra wydawcy „Tygodnika Illustrowanego“ i „Wędrowca,“ karmić będzie czytelników swoich powieścią, polityką i illustracyjami, i nareszcie „*Świat*“ dwutygodnik illustrowany dla młodzieży i dziatwy, zjawi się jako współza-

wodnik jedynego dotąd u nas pisma w tym rodzaju „*Przyjaciela Dzieci.*“

„Świat“ jak powiadamia „Przegląd Tygodniowy,“ wydawca bowiem nie wystąpił dotąd z prospektem, ma być pismem z kierunkiem naukowym dla młodzieży od lat 6 do 16 i dla tego ma być tak urządzonem, iż z początku każdego numeru iść będą artykuły trudniejsze, dla starszych dzieci, a dalej coraz łatwiejsze, aż zeszyt zakończy się powiastką oraz wszelkiego rodzaju grami, łamigłówkami, rebusami, szaradami i t. p. zadaniami rozwijającemi umysł, według najnowszych wskazówek pedagogicznych. Metoda poglądowa Pestallozego, oraz jej podziały: metoda Swobody, Froebla i t. d. mają być stosowane do sposobu wykładu i pisania artykułów, pomiędzy któremi znajdą miejsce obrazy historyczne, powieści, bajki, poezyje i t. p. Świat ma być wydawnictwem nader ozdobnem, a oprócz drzeworytów dołączać będzie staloryty, chromolitografije i litografije kolorowane. Osobny dodatek obejmować ma wzory malarstwa i rysunku dziecinnego, wzory różnych robót dla panienek: introligatorskich, plecionych i t. p. nadto nuty, gry i zabawy. Na okładce każdego numeru redakcyja zamieszczać będzie krótkie oceny wszystkich dzieł i publikacyj przeznaczonych dla młodzieży i dzieci, pomieszczać wiadomości o środkach pedagogicznych, dotyczących wychowania domowego i udzielać w odpowiedziach rad rodzicom i wychowawcom. Cena „Świata“ wynosić ma w Warszawie rs. 1 k. 50 kwartalnie; na prowincyi z przesyłką rs. 2.

Nie wątpimy, że przyszła redakcyja „Świata“ potrafi wypełnić umiejętnie bogate ramy programu, to też spotykając ją serdecznem *szczęść Boże*, życzymy nowemu pismu powodzenia jak najlepszego a prawdziwie będziemy szczęśliwi, gdy się spełnią te życzenia nasze. Sprawa wychowania, to sprawa ważna nad wyraz, gdy doniosłość jej poznamy; gdy zabierzemy się umiejętnie do jej uprawy; gdy tę bogatą a odłogiem puszczoną niwę, zdrowem ziarnem obsiewać poczniemy.

* * *

Nie wolno nam rozwodzić się nad „*Kalendarzem dla panien*“ jaki nakładem p. Burzyńskiego drukarza, wyszedł w tych czasach na widok publiczny. Redaktorem jego bowiem jest stały nasz współpracownik p. *Antoni Pilecki*, wolno jednak zaznaczyć, że prasa warszawska bardzo życzliwie przyjęła to nowe, pierwszy rok istnienia liczące wydawnictwo; wolno nadmienić, że z pomiędzy artykułów pomieszczonych w tym panieńskim noworoczniku, znalazła zaszczytne wyróżnienie praca Dra Piotra Chmielowskiego p. t. *Słówko o kobiecie, jej wykształcenie i zarobkowanie*, a dalej kilka bardzo rzeczywiście udatnych poezyj pana Pileckiego i jego *Mickiewicz jako twórca postaci kobiecych*, oraz *Koszucka i treny Jana Kochanowskiego*. Artykuły: *Nauczycielki*, przez T. Z. oraz *Dzisiejsze czytelnictwo kobiece* pióra p. Jana Jeleńskiego, zasługują też w zupełności na zaszczytną wzmiankę. Cenę kalendarza oznaczył wydawca na kop. 40 za egzemplarz.

* * *

Właściciele obszernych zakładów żelaznych w mieście naszem p. Lilpop, Lewenstein i Rau mają, jak wieść niesie, otworzyć dwie szkoły dla kształcenia pracujących w warsztatach ich rzemieślników. Czas pokaże wkrótce, o ile jest słuszną ta dobra pogłoska.

* * *

„Niwa“ w 23 swoim zeszycie z dnia 30 listopada, pomieściła artykuł wstępny p. t. *Rząd i urzędnicy*, na który zwracamy szczególną uwagę czytelników naszych.

* * *

P. Brodzki przy cukrowni w Łebedynie w powiecie Czehryńskim gub. Kijowskiej, założył dwuklasową szkołę elementarną, urządziwszy takową według najnowszych udoskonalonych wzorów. Przy szkółce znajduje się ogród i gimnastyka, a wykłady poruczono trzem nauczycielom, którzy razem otrzymują z górą 1000 rs. wynagrodzenia. Jeżeli liczba uczennic zwiększy się, dotąd bowiem uczęszcza do zakładu tylko siedm dziewcząt, przyjętą będzie nauczycielka. W dniu otwarcia szkoły, oficyjaliści i robotnicy złożyli składkę w summie rs. 400, na korzyść ubogich uczniów i zaprowadzenia biblijoteki szkolnej.

* * *

W gazecie Przemysłowo-Rzemieślniczej (Nr. 49) spotykamy się też z uczciwym głosem „młodego przemysłowca.“ W obec rozbudzonego dziś u nas ruchu przemysłowego, w obec licznych w mieście naszem fabryk, uderza, mówi on, brak biblijotek rzemieślniczych, których potrzebę każdy myślący człowiek uznaje a przynajmniej uznać powinien. Na początek proponuje autor zakładanie biblijoteczek takich przy większych fabrykach i warsztatach a fundusze na to radzi wytworzyć przez strącanie przy wypłatach po kopiejce od rubla każdemu pracownikowi. Nie szukajmy tylko, powiada wreszcie trudności tam, gdzie ich nie ma, chciejmy biblijotek a będziemy je mieli.

Głos to, powtarzamy, uczciwy, i pp. właściciele fabryk i warsztatów nie powinniby puścić go płazem.

* * *

Założone przez p. Kossutha, redaktora „Przeglądu Technicznego,“ biuro dla szukających pracy, o którem pisaliśmy już w „Opiekunie,“ rozwija się bardzo pomyślnie. Jak donosi „Kuryjer Warszawski,“ pracowników przeszło się już zapisało 300, ale co lepsza nie brak ofiarujących posady. W pierwszym tygodniu było miejsc w stosunku do poszukujących jak 1 do 10, w drugim jak 1 do 9 a w trzecim już jak 1 do 8. Daj Boże, aby ciągle szło dalej w tym stosunku.

FANTAZYJA D^ra^ OX

przez

Julijusza Verne.

(ciąg dalszy).

IX.

W którym doktor Ox i jego pomocnik Ygene przemawiają do siebie parę słów.

— A więc Ygéne?

— A więc mistrzu wszystko gotowe! Rury gazowe wszędzie już pozaciągane.

— Zatem zaczniemy działać na wielką skalę i na całe massy.

X.

W którym zobaczemy że epidemia opanowywa całe miasto i jakie z tego skutki.

W ciągu następnego miesiąca, złe zamiast zmniejszyć się, rozpowszechniało się coraz więcej. Z domów prywatnych epidemia przeszła na ulice. Miasto Quiquendone zmieniło się do niepoznania.

Fenomen ten tem więcej zadziwia iż baczniejsze umysły dostrzegły, że nie tylko królestwo zwierzęce, ale i królestwo roślinne uległo fatalnemu wpływowi.

Według zwykłego porządku rzeczy epidemije specyalizują się. Te które dotykają człowieka, nie dotykają zwierząt, te zaś które dotykają zwierząt, rośliny są od nich wolne. Dotąd bowiem nie widziano konia dotkniętego ospą, ani też człowieka księgosuszem; barany zaś nie chorują nigdy na zarazę kartoflaną. Tu jednak wszystkie prawa natury zdawały się być zburzone. Nie tylko charakter, temperament, myśli mieszkańców i mieszkanek Quiquendone zmieniły się, ale zwierzęta domowe: koty, psy, woły, konie, osły, kozy, podległy temu wpływowi epidemii, tak jakby istota ich uległa zupełnej przemianie. Rośliny nawet wyemancypowały się, jeśli odnośnie do nich wyrażenie to będzie właściwem.

W istocie w ogrodach owocowych i warzywnych objawiały się symptomata nadzwyczaj ciekawe. Rośliny pnące się zuchwale wznosiły się do góry wyżej jak dawniej, rośliny zaś rosnące przy ziemi rozrastały się z większą siłą. Krzewy stawały się drzewami. Ziarna zaledwie zasiane, pokazywały swe zielone wierzchołki i w tej samej porze co dawniej dosięgały wysokości jednej linii, dorastały do cala. Szparagi dosięgały dwóch stóp wysokości, karczochy stawały się wielkie jak melony, melony jak arbuzy, arbuzy jak dynie, dynie zaś dosięgały wielkości dzwonu miejskiego, który miał do dziewięciu stóp średnicy. Kapusta wyglądała jak krzaki, a grzyby jak parasole.

Owoce pośpieszyły za przykładem warzyw. Na dwóch starczyła jedna poziomka, a na czterech gruszka. Winne grono dochodziło do tej wielkości o jakiej daje wyobrażenie Poussin w swoim obrazie powrotu wysłańców do ziemi obiecanej.

Toż samo działo się z kwiatami: ogromne fijołki rozprzestrzeniały w powietrzu balsamiczny zapach, róże rozrośnięte błyszczały świetnemi kolorami, lilije tworzyły w kilka dni nieprzybyte zarośla, geranije, stokrotki, kamelije, rododendrony tworzyły cieniste aleje i niszczyły się wzajemnie. Nóż ogrodniczy był już niedostateczny. A tulipany, te piękne kwiaty, które są ulubieńcami Flamandów, jakież wrażenie sprawiały na amatorach! Szanownego van Bistroma ogarnął szał gdy zobaczył w swoim ogrodzie zwykły tulipan „tulipa gesneriana“ wielkości ogromnej, potwornej, olbrzymiej, którego kielich służył za gniazdo dla całej familii moszków.

Całe miasto zbiegło się aby zobaczyć ten fenomen i nazwano go „tulipa Quiquendonia.“

Lecz niestety! jeżeli te rośliny, te owoce i te kwiaty rosły tak szybko, jeżeli cała roślinność przybierała rozmiary olbrzymie, jeżeli jaskrawość kolorów i zapachu, zachwycały wzrok i powonienie, znikały one zbyt szybko. Powietrze, którem oddychały paliło je gwałtownie i umierały wkrótce wysilone, przekwitnięte, zniszczałe.

Taki był los sławnego tulipana, który zniknął po kilku dniach świetności.

Toż samo było z domowemi zwierzętami, poczynając od psa do świni chlewnej, od kanarka do indyka gospodarskiego.

Należy objaśnić, że te zwierzęta w zwykłym czasie niemniej były flegmatyczne jak ich panowie. Pies i kot wegetowały raczej niż żyły. Nigdy nie igrały z sobą, ani też nienawidziły się nigdy. Ogonem nawet nie poruszyły, tak jakby on był z bronzu, a od niepamiętnych czasów nie zauważono iżby się kiedy gryzły albo drapały. Co do psów wściekłych, takowe uważano jako zwierzęta nie istniejące w naturze.

Ale podczas tych kilku miesięcy, podczas których zaszłe wypadki postaramy się wiernie opowiedzieć, co za zmiana we wszystkiem straszna! Psy i koty zaczęły pokazywać zęby i pazury. Zdarzyło się kilka wypadków ataków i rejterady. Po raz pierwszy ujrzano konia który zrzucił wędzidło i galopował po ulicach miasta Quiquendone, po raz pierwszy ujrzano wołu rzucającego się na swego przeciwnika z rogami na dół spuszczonemi, po raz pierwszy dostrzeżono osła wywróconego do góry brzuchem, wierzgającego nogami w powietrzu na placu ś-go Erunfa i ryczącego, wreszcie barana, tak jest barana we własnej osobie, niedającego się walecznie rzeźnikowi, który chciał z niego zrobić kotlety.

W skutku tego wszystkiego burmistrz van Tricasse znalazł się w konieczności wydania odpowiednich rozporządzeń policyjnych, dotyczących zwierząt domowych.

Niestety! Zwierzęta nie mają rozumu, lecz mniejsza o nie, ale co robić z ludźmi którzy nie byli od nich mędrsi.

Dzieci dotąd tak łagodne stawały się nieznośnemi i sam sędzia prezydujący Honoryjusz Syntax był zmuszonym użyć środków represyjnych względem swej młodej progenitury.

W szkołach bywały zaburzenia, w skutek których niepodobna już było trzymać uczniów w zamknięciu a wzburzenie opanowywało nawet profesorów, którzy uczniów niezwykłemi obciążali karami.

Jeszcze zjawisko inne! Wszyscy mieszkańcy Quiquendone tak wstrzemięźliwi dotychczas i obchodzący się śmietaną, dopuszczać się poczęli prawdziwych nadużyć w jedzeniu i piciu. Zwykłe dania były już niewystarczające. Każdy żołądek stawał się otchłanią a ta otchłań potrzebowała być napełnianą środkami bardzo energicznemi. Konsumcyja miejska potroiła się. Zamiast dwa razy, zaczęto jadać po sześć razy na dzień. Radny Niklausse nie mógł niczem zaspokoić głodu. Burmistrz van Tricasse nie mógł ugasić pragnienia i nigdy już nie wychodził z pewnego rodzaju półupojenia.

Nakoniec symptomata najniebezpieczniejsze objawiły się i pomnażały z dnia na dzień.

Spotykano ludzi pijanych a pomiędzy pijanemi widziano znakomitości nawet.

Cierpienia żołądkowe zajęły cały czas doktorowi Dominikowi Custos, cierpienia zaś nerwowe spowodowały pewien stopień drażliwości, która rozstroiła zupełnie nerwy mieszkańców.

Zdarzały się kłótnie, zdarzały zajścia na ulicach kiedyś tak pustych a dziś tak uczęszczanych.

Potrzeba było pomnożyć kadry policyjne, aby powstrzymywać burzycieli publicznego porządku.

Otworzono *kozę* w ratuszu a koza dniem i nocą napełnioną była. Komisarz Passauf stał się nadzwyczaj ważną figurą.

Małżeństwa zawierano w każdym bodaj miesiącu, czego tu nigdy poprzednio nie bywało. Syn poborcy Ruppa zaślubił córkę pięknej Augusty de Rovere i to w pięćdziesiąt siedem dni po oświadczynach!

Burmistrz van Tricasse odchodził od przytomności, widząc że jego piękna Suzel z rąk mu się wymyka.

Co do kochanej ciotki Tatanemancyi ta oświadczyła się komisarzowi Passauf, utrzymując że małżeństwo to złączy w sobie wszystkie warunki szczęścia, majątku, honoru i młodości.

Nakoniec, dla dopełnienia ohydy, pojedynek miał miejsce. Tak jest pojedynek na pistolety o 75 kroków z nabojami ostremi! Pomiędzy kim? Czytelnicy nasi nie zechcą nam uwierzyć.

Pojedynek miał miejsce pomiędzy panem Franciszkiem Niklausse synem radnego Niklausse z jednej i synem bogatego bankiera, młodym Szymonem Colaert, z drugiej strony.

Przyczyną pojedynku była Suzel, własna córka burmistrza w której się zakochał Szymon.

XI.

W którym mieszkańcy Quiquendone robią heroiczne postanowienie.

Z powyższego się pokazuje w jak opłakanym stanie znajdowała się ludność Quiquendone. W głowach fermentowało i wszystko zmieniło się do niepoznania. Ludzie najspokojniejsi stali się sprzekami, a jeżeliś spojrzał na kogo z pod oka, posyłał ci zaraz sekundanta. Niektórzy pozapuszczali wąsy, zuchwalsi pozakręcali je do góry.

W tych warunkach administracyja miasta i utrzymanie porządku na ulicach i placach publicznych stawały się bardzo trudnemi, albowiem służba policyjna nie była przygotowaną do takiego stanu rzeczy. Burmistrz uczciwy van Tricasse, tak łagodny, tak zimny i tak trudny do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia, nieraz musiał wybuchać gniewem, wydawać dwadzieścia rozkazów na dzień, burczyć na agentów.

Ah! cóż za zmiana! O ty miły i spokojny niegdyś domku burmistrza, o ty! wygodne flamandzkie mieszkanie, gdzież twój dawny spokój?

Jakież dziwaczne sceny przytrafiają się tu teraz! Pani van Tricasse stała się nieznośną, dziwaczną i obżartą. Pan van Tricasse jej mąż musiał wrzeszczeć na całe gardło, aby ją przekrzyczeć i tem zmusić do kapitulacyi. Drażliwość tej dzielnej ongi kobiety udzieliła się domownikom wszystkim i przepadł porządek stary. Służba nie wypełniała swych obowiązków. Opóźniała się, zaniedbywała. Pani burmistrzowa miała tysiące pretensyj do Lotchè a nawet do Tatanemancyi, siostry swego małżonka, która znowu kwaśna teraz jak ocet, cierpko odpowiadała na wszystkie przyczepki. Naturalnie pan van Tricasse trzymał stronę za służącą Lotchè a że i ona sama uważała się za najlepszą i najniewinniejszą, stąd rozjątrzenie pani domu coraz większe, stąd gniewy, dyskusyje, rozprawy i sceny które nigdy nie miały końca.

— Co się tu porobiło? lamentował nieszczęśliwy burmistrz, co to za straszny płomień wewnętrzny, który nas pożera? Czy zły duch nas opanował czy co? O! pani van Tricasse! pani van Tricasse! za przyczyną twoją ja pierwszy wbrew tradycyjom naszego rodu, przeniosę się do wieczności.

Czytelnik nie zapomniał zapewno tej dziwacznej dość osobliwości, według której pan van Tricasse powinien był koniecznie zostać wdowcem i ożenić się powtórnie, aby nie zrywać uświęconego długą praktyką łańcucha.

Usposobienie to umysłów spowodowało jeszcze inne ciekawe następstwa, które musimy zaznaczyć. Następstwem wewnętrznego wzburzenia mieszkańców, którego przyczyny nie dociekliśmy dotąd, było fizyjologiczne odrodzenie i przekształcenie. Talenta które dotąd pozostawały zaniedbane wyłaziły jak grzyby po deszczu. Zdolności potęgowały się. Artyści dotychczas bardzo mierni okazywali się znakomitościami, politycy i literaci jaśnieli blaskiem niezwykłym; mówcy w najgorętszych dysputach wprawiali w podziw słuchaczów i tak już łatwo zapalnych. Z posiedzeń rady miejskiej ruch przeniósł się na zebrania publiczne i utworzył sobie w Quiquendone klub, gdy tymczasem pięć pism peryjodycznych: „Na straży,“ „Prawda,“ „Postęp,“ „Naprzód,“ „Czuwajcie,“ redagowane namiętnie podnosiły kwestyje najpoważniejsze.

Jakie kwestyje zapytacie. Wszystkie i żadne; rozprawiano w przedmiocie wieży Audenardu, która się pochyliła i którą jedni chcieli rozebrać natychmiast, inni natychmiast restaurować, w przedmiocie rozporządzeń policyjnych rady miejskiej, którym uparte głowy śmiały się opierać; w przedmiocie zamiatania ulic, oczyszczania rynsztoków, ścieków i t. d. Ale gdyby to jeszcze wybujałe pały rozprawiały jedynie o wewnętrznej administracyi miasta! Gdzie tam! Uniesiony prądem postępowiec zaciekał się daleko, głębiej i gdyby nie ręka Opatrzności, dawnoby już był pociągnął, dawno popchnął, dawno wtrąciłby swych bliźnich w otchłań niepewnych losów wojny.

W istocie od ośmiuset z górą lat Quiquendone nosiło w sobie *casus belli* w całym najdrażliwszym znaczeniu tego wyrazu; od ośmiuset z górą lat chroniło go starannie jak relikwiję jaką a widocznie grubo by mylił się ktoby sądził, że niema już takich coby go podnieść byli gotowi.

Nie wszystkim wiadomo zapewne, że Quiquendone w szczęśliwej Flandryi położone,

graniczy z miasteczkiem Virgamen; że grunta tych dwu miast stykają się ze sobą.

Od 1185 roku, na krótki jakiś czas przed odjazdem hr. Baudouin na wojnę krzyżową, krowa z miasteczka Virgamen nie należąca wszelako do żadnego z jego mieszkańców, krowa, zauważcie tylko dobrze, należąca do gminy miasta Virgamen, weszła na grunta miasta Quiquendonc. Otóż chociaż przeżuwające stworzenie trzy razy zaledwie szerokością swego języka dotknęło paszy zagranicznej, aliści pojmano ją i uznano winną występku, nadużycia, zbrodni i jak tam sobie już sami nazwać to zresztą chcecie. Uwolniono ją, to prawda, ale spisano protokół, bo w tej epoce urzędnicy bywali już piśmienni.

— Zemścimy się jak przyjdzie na to pora, rzekł wówczas prostodusznie Natalis van Tricasse, trzydziesty drugi przodek dzisiejszego burmistrza i mieszkańcy Virgamen nic nie stracą na oczekiwaniu.

Mieszkańcy Virgamen byli o tem uprzedzeni, czekali więc myśląc, nie bez pewnej racyi, że wspomnienie krzywdy zblednie a nawet zatrze się zupełnie z czasem, i rzeczywiście w ciągu wielu wieków żyli w dobrych stosunkach z mieszkańcami Quiquendonc.

Ale ów nowy gość a raczej owa epidemija która radykalnie zmieniła charakter sąsiadów, obudziła też na nieszczęście i zdrzemniętą zemstę.

Stało się to w klubie przy ulicy Monstrelet, w którym burzliwy adwokat Schut przedstawiając sprawę tłumowi słuchaczów, wzburzył umysły używając wyrazów i wyrażeń podniecających.

Wspomniał o przekroczeniu, wspomniał o krzywdzie gminie wyrządzonej, wspomniał że dla tych, którzy prawa swoje szanują, nie ma przedawnień żadnych; wspomniał o pewnych oznakach, o pewnych poruszeniach głów, właściwych mieszkańcom Virgamen, które dowodnie przekonywają w jakiej wzgardzie ci ostatnie mają mieszkańców Quiquendonc; błagał współrodaków którzy prawdopodobnie bezwiednie znosili przez tyle wieków tak śmiertelną krzywdę, aby się za sobą ujęli i przekonywał dzieci starożytnego miasta, jako nie ma innego na to środka jak otrzymać świetne zadość uczynienie, i nakoniec przemówił do wszystkich sił żywotnych narodu.

Z jakim zapałem te nowe zupełnie dla uszu mieszkańców Quiquendonc słowa przyjęte zostały, tego wypowiedzieć nie można. Słuchacze powstali, a wzniosłszy ręce do góry wielkim głosem zażądali wypowiedzenia wojny. Nigdy adwokat Schut nie miał takiego powodzenia a dodać tu nie zawadzi, że był bardzo przystojny.

Burmistrz, radni, dygnitarze i inni obecni na posiedzeniu, mieli niby zamiar oprzeć się powszechnemu uniesieniu, ale porwani ogólnym zapałem, równie głośno jak inni wołali:

— Na granicę! na granicę!

Ponieważ granica odległą była zaledwie o trzy kilometry od murów miasteczka Quiquendonc, mieszkańcom Virgamen groziło niebezpieczeństwo wielkie, mogli bowiem być otoczeni przed przygotowaniem się do zbrojnego oporu.

Szanowny aptekarz Josse Liefrinck, człowiek jeden jedyny jaki dotąd przy zdrowych zmysłach pozostał, chciał zwrócić uwagę, na brak dowódców, karabinów, armat i amunicyi.

Odpowiedziano mu przy akompanijamencie wcale licznych szturchańców: że generałowie, armaty i karabiny znajdą się; że słuszność sprawy i miłość kraju wystarczą aby uczynić naród niezwyciężonym, a burmistrz poparł to gdy w świetnej improwizacyi poddał publicznej wzgardzie tych małodusznych co podszyci tchórzem, chcą wynajdywać przeszkody, chcą najświętsze uczucia ważyć na szali zimnego rozsądku.

Gdy skończył zatrzęsła się sala od grzmotu oklasków.

Zażądano głosowania.

Wojnę zatwierdzono jednomyślnie i podwoiły się okrzyki.

— Do Virgamen! do Virgamen! Burmistrz zawezwał tedy do pochodu, przyrzekając w imieniu miasta temu z przyszłych generałów, który powróci zwycięzcą takie honory, jakie się praktykowały za rzymskich czasów.

Aptekarz jednak Josse Liefrinck człek bez krwi i uparty, dotąd za przekonanego się nie uważał, i jeszcze zrobił jedną uwagę.

Zauważył, że w Rzymie przyznawano prawo takiego tryumfu tym tylko generałom, którzy zwyciężając położyli trupem pięć tysięcy nieprzyjaciół na placu.

— Zgoda na to, dobrze, dobrze! zawołali ze wściekłością obecni.

— Ależ ludność gminy Virgamen dochodzi zaledwo do trzech tysięcy pięćset siedmdziesięciu pięciu głów, dodał aptekarz, a niemożebnem jest po kilka razy zabijać jedną osobę.

Nie pozwolono skończyć nieszczęśliwemu logikowi i wszyscy popychając go i szturchając za drzwi go wyrzucili.

— Obywatele! krzyknął wtedy kupiec korzenny Pulmacher; obywatele, bez względu na to co wybełkotał ten podły judasz aptekarz, ja sam zobowiązuje się położyć trupem pięć tysięcy mieszkańców Virgamen, jeżeli zechcecie przyjąć moje usługi.

— Ja położę pięć tysięcy pięćset! wrzasnął jeden z zapalczywszych patryjotów.

— Ja sześć tysięcy sześćset! zawołał cukiernik z ulicy Hemling Jan Orbideck, który był na drodze zrobienia majątku na śmietankowym kremie.

— Zasądzono! zawyrokował burmistrz van Tricasse, gdy nikt wyższej nie podał oferty i takim otóż sposobem sławetny Jan Orbideck został jenerałem wojsk Quiquendonc.

XII.

W którym pomocnik Ygène podaje słuszną radę, żywo jednak odrzuconą przez doktora Ox.

— Tak więc mistrzu! odezwał się nazajutrz po zaszłych wypadkach, pomocnik Ygène wylewając ceber kwasu siarczanego w koryto olbrzymiego stosu elektrycznego.

— Tak, tak, podchwycił doktor Ox, czyż nie miałem słuszności? Widzisz do czego tu przychodzi; nietylko istota fizyczna całego narodu lecz jego moralność, godność, talenta, zdanie polityczne uległy zmianie! Ach! to jest właśnie kwestyja molekularna....

— Bez wątpienia, lecz....

— Lecz?

— Czyli nie uważasz doktorze, że rzeczy poszły za daleko i że nie należało by wzburzać tych biedaków nad miarę?

— To być nie może, zawołał doktor, nie, ja dojść muszę do celu?

— Jak chcesz, mistrzu, w każdym razie doświadczenie zdaje mi się dostatecznem i sądzę że byłby już czas....

— Do czego?

— Do zamknięcia kranu.

— Otóż go masz! krzyknął doktor Ox, sprobuj tylko a zmiażdżę cię w drobne kawałki!

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Dzieci pani Sojeckiej na wakacyjach. Obrazki przez autorkę „Wesołych i ciekawych powiastek.“ Warszawa 1876. Nakładem księgarni Stoppella i Stana (str. 295).

Książeczka ta złożona jest z opowiadań już to samej p. Sojeckiej, już to niańki Borosi; w opowiadaniach jednak tych nie tylko ciekawość czytelników, ale i wykształcenie ich umysłu miano na względzie. Na szczególną uwagę zasługuje wypracowanie Ludki o historyi polskiej, na imieniny matki napisane (str. 124—197). Prócz tego z powodu tych opowiadań zawiązuje się rozmowa, którą pani Sojecka kieruje odpowiadając na pytania dzieci i pobudzając je do myślenia. W ogóle skład całego towarzystwa jest następujący: Pani *Sojecka* przedstawiła się nam jako kobieta wykształcona i dobra matka, to jest taka jaką być powinna. Co zaś do dzieci to przedewszystkiem *Tadeusz*, najstarszy syn, jest nad wiek roztropny, ale nasłuchawszy się wśród starszych rozmaitych teoryj, zanadto przejął się wyobrażeniami, że jest dorosły i że może o wszystkiem zdanie swe wypowiadać. Starsza córka *Emilka* jest dziewczynka, jakich bardzo wiele; nie okazuje ani szczególnego rozumu, ani też grzeszy zbytnią tępością. *Ludka*, druga córka jest to jeszcze dziecko roztrzepane, z dobrym sercem; posiada dość rozwinięty umysł; widać w niej wytrwałość w postanowieniu; w ogóle jest to więcej charakter męzki. *Staś*, synek najmłodszy, jest dzieckiem jeszcze pod każdym względem, jednakże z jego zapytań i ciekawości pokazuje się, że może być bardzo inteligentnym. Lubi on nie tylko słuchać, ale mówić o rzeczach poważnych, co w tym wieku nie jest rzeczą zwykłą, gdyż pospolicie dzieci nudzą się podobnemi zabawami i szukają rozrywek, któreby ich oddalały od osób starszych.

Nakoniec *Oleś* siostrzeniec p. S. sierota wzięty przez ciotkę na wychowanie, przedstawił się nam może najsympatyczniej; ma on dobre skłonności i talent do malarstwa, ale nie jest z tego dumny; nie ubiega się za pochwałami, a przywiązany do ciotki i jej dzieci jak syn jej rodzony.

Panna *Amelija*, nauczycielka, zdaje się trochę zbyteczna przy dzieciach takiej matki; wi-

dzimy ją wszędzie nie jako nauczycielkę, ale jako szóste dziecko p. S., nie ma w niej żadnej samodzielności, jaka u guwernantek być powinna, mało ona swem zdaniem i rozumem może dopomódz do rozwinięcia zdolności elewów sobie powierzonych.

O p. *Henryku* nauczycielu Tadzia nie można nic sądzić; wiemy bowiem o nim tyle tylko, że prowadzi niepotrzebne dysputy z kolegami, którym się Tadzio przysłuchuje; czem prędzej może zaszkodzić niż pomódz do wykształcenia strony moralnej chłopca i tak zanadto na swój wiek rozwiniętego. Powiastka ta zasługuje na pochwałę, pod względem stylu i sposobu nauczania dzieci przez rozsądną matkę. Jednakże niepodobna nie wypowiedzieć kilku słów nagany za przemawianie do dzieci małych, jak gdyby one już miały też same pojęcia co i osoby dojrzałe, za mówienie dzieciom *o deizmie, darwinizmie, pozytywizmie*, o wątpliwościach co do istnienia Boga i duszy. Nie wydaje nam się, żeby zupełnie było rzeczą pedagogicznie usprawiedliwioną, nagłe wtłaczanie w umysły dzieci poglądów, do poznania których wiele potrzeba nauki i dobrze już wyćwiczonego umysłu.

Biblijografija polska XV—XVI stulecia. Zestawienie chronologiczne 7,200 druków w kształcie rejestru do biblijografii, tudzież spis abecadłowy tych dzieł, które dochowały się w biblijotekach polskich, przez Karola Estreichera. Wydanie akademii umiejętności, staraniem komisyi biblijograficznej. Kraków, 1875. str. 226 i XVI.

Sam tytuł dostatecznie już objaśnia treść dzieła, którego dokonał najpracowitszy i najznakomitszy nasz biblijograf, pan *Estreicher*. Wymieniając jego nazwisko dostateczną dajemy rękojmię umiejętnego opracowania tak ciekawej i tak ważnej rzeczy, jak biblijografija druków polskich od czasu ich nastania po rok 1600. Każdy miłośnik literatury książkę p. E. bezwarunkowo posiadać powinien, zarówno dla szukania w niej wskazówek jak i dla dopełniania jej. Rozbierać jej tu w krótkości niepodobna; dodamy więc tylko, że dla rozpowszechnienia wśród cudzoziemców prócz polskiej, dodano jeszcze przedmowę w języku niemieckim.

Teoryja stylu polskiego (?), napisana przez *Józefę Kamocką* b. nauczycielkę i t. d. Warszawa 1875. w 8-ce, str. 273 oprócz wstępu, pytań z kursu całego, spisu rzeczy i sprostowań pomyłek drukarskich.

Nie małą przysługę czyni społeczeństwu tak autor jak wydawca, gdy występuje u nas z książką naukowej treści, gdyż jak wiadomo z doświadczenia, na bardzo szczupłą liczbę czytelników rachować może. Stąd i dziwić się nie ma czemu, że u nas tak trudno o nową a dobrą książkę naukową, zwłaszcza też o książkę, którąby zastępując nauczyciela, podawała gruntowne i wyczerpujące prawidła nietylko jasnego ale i pięknego wysłowienia się po polsku, bądź ustnie bądź piśmiennie.

Kiedy język nasz, pomimo przeróżnych wpływów, udoskonalił się i rozwinął, kiedy wielcy mistrzowie słowa, poeci nasi, podnieśli go do możliwej potęgi, kiedy ludzie uczeni wciąż go urabiają we wszystkich gałęziach wiedzy; sama teoryja sztuki pisania od czasów Euzebijusza Słowackiego malutkie postępy uczyniła. Jedyne książki, jakie tu wymienić możemy, są podręczniki szkolne Sierocińskiego, Kudasiewicza, Rymarkiewicza, Mecherzyńskiego i Au. Jeskiego, którego „Stylistyka“ jeśli nie jest najlepszą, to bezwątpienia najpraktyczniejszą.

Szczupłe grono tych pracowników zwiększyła p. Kamocka, i dała nam co dać mogła, zebrawszy i uporządkowawszy swoje wykłady szkolne. A więc tłómaczy nam ogólne pojęcie o stylu, skąd się on bierze, co znaczy i jak się dzieli; prześlicznym, lekkim stylem wypowiada, na czem polegają główne przymioty stylu i jakie są przeciwne mu wady, a ogólniki swoje popiera zaraz przykładami, czerpanemi z najznakomitszych pisarzy tegoczesnych. Dalej idą, również popularnie, chociaż nie dość ściśle określone, ozdoby stylu, gdzie mowa o zwykłych postaciach retorycznych, mających swoje źródło w wyobraźni lub uczuciu mówcy albo pisarza. Poczem znajdujemy wymienione zwykłe rodzaje prozy z pobieżną wzmianką o pisarzach, którzy się w nich odznaczyli. Wreszcie wykazawszy charakterystyczne cechy stylu z epoki złotej, panegirycznej, klasycznej (?) i odrodzenia, całą drugą połowę książki autorka zapełniła wypisami z autorów 16, 17, 18 i 19 wieku. Wybór wszędzie trafny i stosowny, szkoda tylko, że brak mu pewnych objaśnień, któreby uwydatniały to, co autorka powiedziała w pierwszej połowie swej książki. Uczeń lub uczący wieleby na tem skorzystali, gdy tymczasem owe wyciągi same sobie zostawione, niczem się nie różnią od zwykłych wypisów, na których nam, dzięki Bogu, nie zbywa.

Autorka teoryi stylu *polskiego* pisze stylem poprawnym, naturalnym, potoczystym, ale czy polskim, w prostocie ducha powiemy, że nie wiemy, bośmy nigdy o takim stylu nie słyszeli, tak jak nie słyszeliśmy o estetyce np. francuzkiej lub niemieckiej. Wprawdzie był czas, kiedy chciano u nas stworzyć filozofiją polską, ale to zupełnie rzecz inna, gdyż tam miano na widoku taki systemat, któryby dalekim będąc od zabujałej abstrakcyi Heglów i Szelingów, oraz od zbytniego realizmu niektórych myślicieli francuzkich lub angielskich, zgodnym był z duchem naszym, wypływał z narodowego usposobienia naszego. Dziś stosunek ten zmienił się i więcej pomiędzy francuzami naliczymy idealistów, niż pomiędzy pozytywistami niemieckiemi. I nazwy filozofii niemieckiej lub francuzkiej, jako zupełnie konwencyjonalne, nie mają żadnego znaczenia, zapomniane zostały. Gdy oto naraz zjawia się nam teoryja stylu *polskiego*... ale dajmy temu pokój, jest to po prostu *lapsus calami* naszej autorki, gdyż jesteśmy przekonani, iż miała jedynie na myśli podanie prawideł pisania zgodnie z naturą języka polskiego.

Praca panny Kamockiej nader pochlebne znalazła uznanie prawie we wszystkich organach naszej prassy peryjodycznej, i słusznie bardzo, gdyż piękniej i gładziej wypowiedziała znane prawidła poprawnego pisania, niżeli to uczynili jej poprzednicy, zwłaszcza, gdy stare przykłady zastąpiła nowemi, wyrzuciła wszelkie cytaty łacińskie jako spowszedniałe, i korzystała widocznie z poglądów tegoczesnej krytyki.

Ponieważ poczciwą i serdeczną pracę autorki uważamy za ostatni wyraz, do jakiego u nas po latach tylu doszła teoryja trudnej sztuki pisania, poważamy się zwrócić jej uwagę na pewne opuszczenie. Na samym wstępie swej książki uczy nas autorka, że na dobrą teoryją pisania składa się gramatyka, estetyka i logika. Jakoż, pisząc przeważnie dla panien, z estetyki szczodrą dłonią czerpie prawidła piękności, uważając ją w swej teoryi za główny punkt wyjścia; przypomina gramatykę, rozwodząc się, niestety! dość nieszczęśliwie i bardzo powierzchownie o budowie okresów i o stylu tak zwanym peryjodycznym i ucinkowym. Czemuż pominęła tylko logikę? Autorka wie zapewne z doświadczenia, że niejedna uczennica pisze stylem prześlicznym, łatwym, pełnym ozdób i zwrotów cudownych, a jednak całemu jej wypracowaniu brak jednej drobnej rzeczy... brak sensu, brak porządku. To co powinno było być na początku, znalazło się na końcu, nad prostym ubocznym przedmiotem, genijalna dziewica idąc za zwykłą władzą kojarzenia się pojęć (associatio idearum) rozszerzyła się nad miarę, gdy rzecz główną zaledwie kilku wyrazami zbyła. A cóż tu mówić o tych biedaczkach, co to gryzą pióro i patrzą w niebo, i same nie wiedzą od czego zacząć, co napisać i na czem skończyć! Jeśli dawne tak zwane retoryki aż do znudzenia podawały przepisy, jaki winien być wstęp, a jakie zakończenie, jak zbierać i porządkować *argumenta*, jak je *amplifikować*, a późniejsza logika dodała konieczny wzgląd na zakres i rozciągłość wygłaszanych pojęć, to jak wiadomo czytelnikom nie utworzyła wielkiego mówcy, albo pisarza, ale brat szlachcic wyćwiczony na takich chryjach, kiedy co napisał albo się odezwał na jakiem zebraniu, to przemawiał językiem często dziwnym, naszpikowanym łacińskiemi sentencyjami, ale w tem zawsze był sens, było zaokrąglenie, była pewna całość.

Otóż nasza autorka owo porządkowanie i ułożenie w całość rozproszonych w umyśle piszącego myśli, pominęła zupełnie. A czemuż to? Czy ją tak zachwyciły nasze artykuły dziennikarskie, nasze felijetony, w których dowcip, śmiałość, ironija, niekiedy myśl wielka i głęboka, z umysłu czy mimowolnie tak są pomieszane i pogmatwane, iż w końcu uwierzysz, że niedorzecznością jest dawana ci przez starego nauczyciela przestroga, jakoby porządek był duszą rzeczy.

Opuszczenie to jest rażącem, dla tego niepłonną mamy nadzieję, że autorka w drugiem wydaniu swej pożytecznej i tak pożądanej pracy, pominięcie to uzupełni, określeniom swoim doda więcej naukowej ścisłości, przykłady objaśni a wypisy opatrzy koniecznemi uwagami. A może jeszcze wycofa z obiegu ową kreseczkę, znak ulubiony pióra niewieściego, którego znaczenia napróżno dopytuje się ciekawa uczennica. Raz, kreseczka owa kładzie się za przecinek, to znów za średnik, a nawet dwukropek, a niekiedy wraz z przecinkiem. Raz jest znakiem deklamacyjnym, drugi raz reguluje stosunek zdań w okresie. Prawda, że tego

dowolnego posługiwania się niewinną kreseczką, pełno w naszych książkach i pismach peryjodycznych, ale książce naukowej treści, grzeszyć takim grzechem nie wolno.

J. P.

Henryk hr. Rzewuski. Zamek Krakowski. Romans historyczny z wieku XVI. Warszawa 1875. Str. 424.

Jestto trzecie z kolei wydanie. Pierwsze ukazało się przed dwudziestu blisko laty i bardzo prędko drugi raz przedrukowanem być musiało. W owym czasie Rzewuski cieszył się powodzeniem nie często u nas praktykowanem; widziano w nim nietylko najznakomitszego powieściopisarza historycznego, ale najgenijalniejszego autora w ogóle. Dzisiaj czasy się już zmieniły; powaga Rzewuskiego oddawna już zmalała, wywoławszy w swoim czasie nader smutne dla oświaty polskiej skutki. Dziś Rzewuski oczekuje na historyka, któryby istotne zasługi od błyszczących i łudzących pozorów starannie oddzielił. W tej krótkiej notatce postaramy się zaznajomić czytelników z najogólniejszą treścią romansu historycznego: „Zamek Krakowski," na nowo wydanego w Biblijotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej, p. Lewentala.

Osnową „Zamku Krakowskiego" jest historyja Samuela Zborowskiego, młodzieńca gwałtownego, popędliwego, ale odznaczającego się wielkiemi przymiotami duszy i ciała. Uciekłszy dla uniknięcia niemiłego małżeństwa na Ruś między kozaków, walecznością swoją sprawił to, że został wybrany ich atamanem. Razu pewnego ocalił od napadu i rozboju synowicę ks. siedmiogrodzkiego Stefana Batorego, ku której namiętną przejął się miłością. Wówczas w Polsce, po śmierci ostatniego Jagiellończyka wybrano na króla Henryka Walezyjusza, który urządził świetny turniej rycerski pod Krakowem. Na tym turnieju Samuel został zwycięzcą, ale przez brak panowania obraził Tęczyńskiego. Powstała stąd obustronna niechęć, której skutkiem było wydobycie oręża w obec króla i zabójstwo Wapowskiego, wysłannika królewskiego, chcącego zapobiedz rozlewowi krwi. Samuel został skazany na wygnanie czyli banicyją i pod karą miecza nie wolno mu było pokazywać się w kraju. Wówczas bohater udaje się na dwór Batorego i stara się pozyskać serce Gryzeldy, owej synowicy księcia, którą z pierwszego wejrzenia pokochał, ale napróżno wzajemności się dobijał. Tam bezczynnie rok cały strawił. Tymczasem w kraju zaszły ważne zmiany. Henryk uciekł do Francyi, a na jego miejsce obrano Stefana Batorego. W poselstwie do niego z oznajmieniem elekcyi, znajdował się między innemi Jan Zamojski, coraz większego wpływu wśród szlachty nabierający. I u Stefana Batorego całą ufność pozyskał.

Wielkie wypadki dziejowe powołały do broni wszystkich prawych obywateli. Samuel za namową krewnych swoich i Zamojskiego udał się razem z innemi na wojnę i świetnemi odznaczył się czyny. Ale po skończonej wyprawie chciał koniecznie powrócić do kraju, tym bardziej gdy się dowiedział, że Gryzelda wyszła za Zamojskiego. Odtąd przejął się nienawiścią dla tego męża i pomimo jego ostrzeżeń za radą zdradliwego niemca Winrycha przyjechał do Krakowa i publicznie Zamojskiego znieważył. Ten puścił mimo siebie urazę a nawet chociaż starosta krakowski miał prawo uwięzić i skazać na śmierć Samuela, starał się go skłonić do ucieczki. Napróżno! Winrych sprowadza nieszczęśliwego podstępem do pani Wapowskiej, która go oddaje w ręce sprawiedliwości. Zamojski musiał spełnić wyrok ale przed ścięciem uzyskał przebaczenie niewładnącego sobą awanturnika.

Jak widzimy, świetna treść zarówno pod indywidualnym jak i ogólnym względem! Charaktery osób, położenia ich, pierwsze w Polsce bezkrólewie, świetna wojna na północy — to znakomity materyjał nie tylko do powieści historycznej, ale i do epopei. Rzewuski w bardzo małej tylko mierze materyjał ten zużytkował. Utwór jego jest opowiadaniem, ale nie romansem. Brak mu skupienia, w którem by się zestrzeliwały wszystkie rozproszone promienie wypadków dziejów. Charakterystyka tylko udała mu się wybornie, ale w podrzędnych jedynie postaciach. Humiecki, Zdora, Falendysz, oto są postacie prawdziwie artystycznie obrobione. Zamojski natomiast wygląda sztywno a niewyraźnie, zawsze jakby za parawanem się znajdował. Gryzelda pomimo niektórych rysów charakterystycznych (odwaga, determinacyja) jest zanadto bierną istotą, jak na bohaterkę romansu. Sam Samuel zostaje w cieniu i tylko jego niepomiarkowaną gwałtowność a żar uczuć widzieć możemy na scenie; nie brak mu nawet śmiesznej melodramatyczności. Opowiadanie ciągnie się niezmiernie powoli jak wóz po piasku.

P. Ch.

ROZMAITOŚCI.

— Jenerał major gwardyi artyleryi, Starynkiewicz, przybył do Warszawy, dla objęcia obowiązków prezydenta naszego miasta.

— Krążyły pogłoski, jakoby towarzystwo kredytowe ziemskie czyniło starania o odroczenie lub umorzenie nawet tegorocznej raty grudniowej; a to w skutku obecnego zastoju w dziedzinie rolnictwa i roku nieurodzajnego. Wieści tej jednak urzędownie zaprzeczono.

— Dyrekcyja teatru Skarbkowskiego we Lwowie, nabyła prawo przedstawienia nowej komedyi 5-aktowej pana Michała Bałuckiego p. t. „Pozłacana młodzież."

— Wedle gazety „Pall Mall gazette" zagranicznym konsulom zakomunikowaną została szczegółowa wiadomość o ludności Hercogowiny i Bośnii. Takowa wynosi do 1,212,000. W tej liczbie 572,000 prawosławnych, 442,000 muzułmanów, 186,000 katolików, przeszło 2,000 żydów i 10,000 cyganów.

— Bezsilność Turków w Hercogowinie jest bajeczną. Państwo ściągające z obywateli swoich ogromne fundusze na utrzymanie 150,000 ludzi w czasach pokoju, nie może stawić czoła powstańcom hercogowińskim, których ogólna liczba po najdokładniejszem obliczeniu pewnoby 15,000 nie przeniosła, a bardzo do prawdy podobni ustanowioną być może na jakie 10,000 ludzi. Żołnierze objawiają niesubordynacyję, nie chcą ruszać na liniję, biją się źle — bo są źle żywieni, a niektóre kompanije od półtora roku podobno już jednego piastra żołdu nie widziały. W ten sposób Turcyja odrzucająca pojednanie ofiarowane jej ze strony, z której zawsze dotychczas widziała nadciągające dla siebie niebezpieczeństwo, dowodzi wielkiego nierozumu i większego jeszcze niedołęztwa i sama nad upadkiem swoim pracuje. Europa będzie musiała obmyśleć taką kombinacyję, w której by równowaga nad Dunajem i na południe od tej granicy, utrzymaną została nie tylko bez pomocy półksiężyca, ale jeszcze pod tym warunkiem nieodzownym, że cały ten gmach przyszły na gruzach panowania tureckiego wzniesionym zostanie. Taka będzie nieuchronna konieczność, jeżeli się nie zjawi, cudem prawie, jaki nowy Selim lub Kiupriuli i w żelazne kleszcze rozumu i instynktu zachowawczego nie pochwyci całego organizmu państwa, całego ustroju społecznego, aby z nich wytworzyć zbiorowiska zdolne do życia. Lecz zjawienie się takiego człowieka może być tylko marzeniem, nie jest i nigdy nie będzie trzeźwem przewidywaniem i w rachubę polityczną poważną wchodzić nie powinno.

— Telegramy południowo-słowiańskie donoszą, że powstańcy w znacznej sile zbierają się między Dubrownikiem (w Dalmacyi) i Trebiniją.

— Dzienniki pruskie szczegółowo rozpowiadają o wieczorach jakie ks. Bismarck daje teraz dla członków parlamentu niemieckiego. Kanclerz ma wyglądać tak zdrowo i czerstwo, że goście jego nie mogą się dopatrzyć śladu owych „nocy bezsennych i cierpień nerwowych," które miały mu tak bardzo dokuczać w Warcynie. Nikt nie chce wierzyć, że ks. Bismarck chorował. „Ten dyjabeł Bismarck długo jeszcze pożyje, bo zdrów jak ryba" — miał powiedzieć jeden z członków rady związkowej do członka parlamentu, a ks. Bismarck usłyszawszy to przytwierdził: „Masz pan racyję, jestem zdrów jak nigdy." Sprawozdawcy z tych przyjęć kanclerskich dodają, że ks. Bismarck rozmawiał o wszystkiem tylko starannie unikał dotykania jedynego przedmiotu, który dziś żywo cały świat polityczny zajmuje — kwestyi wschodniej.

Jak zawiadamia „Presse," ambassador niemiecki w Wiedniu, jenerał Schweinitz w tych dniach udaje się jako ambassador do Petersburga.

Jako powód tej tranzlokacyi dziennik ministeryjalny wiedeński przytacza okoliczność, iż ów dyplomata pruski jest najlepiej wtajemniczonym znawcą spraw wschodnich.

— W Austryi ważna teraz pertraktuje się sprawa. W r. 1877 dobiega do kresu układ polityczno-skarbowy Węgier z Przedlitawiją. Interes obu państw, a szczególniej Węgier wymagał wypowiedzenia traktatu celnego jaki spaja kraje korony św. Stefana z właściwą Habsburgiją i prowincyjami słowiańskiemi. Węgry pierwsze przysłały d. 28 z. m. wypowiedzenie jedności celnej. Minister Tisza objaśnił jednak zaraz swoje stronnictwo, że spo-

dziewa się, iż jedność celna i nadal — na dogodniejszych tylko warunkach — da się utrzymać, a rząd austryjacki objawia ze swej strony wielką ku temu skłonność. Podobne oświadczenie złożył znowu Auersperg w wiedeńskiej radzie państwa. Zdaje się więc, że sprawa ta nie przebędzie kolei cięższych, któreby zagrozić mogły samej jedności politycznej obu państw.

— Z przeszłości pani Mac-Mahon. W zimie roku 1838 w seminaryjum żeńskiem w Limoges wybuch pożar, który wnet ogarnął cały budynek. Nagle rozległ się okrzyk przerażenia: przypomniano sobie, że w objętych ogniem pokojach została mała dziewczynka. Podczas gdy większa część świadków tej okropnej sceny Bogu już polecała biedne dziecko, nie widząc sposobu ratowania go, z grona pensyjonarek smukła dziewica, otulona tylko nocną jakąś narzutką i z okrzykiem: „Ja ją wyratuję,“ przebiła się przez tłum otaczający pogorzelisko i rzuciła się w płomienie. Po upływie minuty, w ciągu której żaden z obecnych szeptem nawet nie zakłócił ciszy strasznego oczekiwania, ujrzano wychylającą się z płomieni białą postać z przerażonem dzieckiem na ręku. Poświęcenie dokonało tu istotnie cudu: dziewczynka była uratowaną. W kilka dni później król Ludwik Filip przysłał bohaterskiej dziewicy złoty medal, a młody kapitan armii francuzkiej, który był świadkiem jej bohaterskiego czynu, oświadczył się o jej rękę. Tym kapitanem był, dzisiejszy prezydent rzeczypospolitej francuzkiej, a bohaterka, pensyjonarka z Limoges, nazywa się dziś panią Mac-Mahon, księżną Magenty.

— Do najpłodniejszych pisarzów bieżącego stulecia, należy znakomity publicysta i belletrystyk węgierski Maurycy Jokai, znany już i u nas z kilku przekładów. Od r. 1846 wydał przeszło 200 tomów swych powieści, nie licząc prac poważniejszych, poezyi, mów sejmowych i t. p. W skutek takiego natężenia umysłowego, zachorował przed niedawnym czasem, a lekarze kazali mu na czas niejaki wstrzymać się od wszelkich piśmiennych zajęć.

— Niejaki p. Denayrousse, porucznik artylleryi francuzkiej, wynalazł przyrząd za pomocą którego, można, zanurzywszy się w morze, podpłynąć niepostrzeżenie pod nieprzyjacielskie okręty, i przymocowawszy do nich piekielne torpedy, od takowych elektryczną komunikacyję łatwo do brzegów urządzić. Wynalazek p. Denayrousse pozwala zaopatrzonemu weń nurkowi pozostawać przeszło dwie godziny pod wodą, gasić i zapalać lampę, radzić się przy jej świetle kompasu i t. p. Wynalazek to niesłychanej doniosłości: dziwna rzecz tylko, dla czego pierwsze próby z nim odbywały się, jak donoszą gazety, w Anglii, a nie w ojczyźnie wynalazcy?...

— Zgromadzenie narodowe w Wersalu dnia 30 listopada przyjęło 532 głosami, przeciwko 87 w trzeciem odczytaniu nowe prawo wyborcze dla Francyi. Prawna działalność dzisiejszego zgromadzenia ustać ma dopiero w dniu 4 marca. Niewiadomo z jakiego powodu p. Du Clerg, datę zebrania się nowych izb opóźnia do 16 marca. Czyby dla tego, że jest to rocznica (20) urodzin księcia cesarskiego, przyszłego Napoleona IV, a szanowny deputowany chce dać p. Buffetowi miesiąc czasu do przygotowania zamachu stanu na samą właśnie rocznicę?

— Książe kanclerz Gorczaków wracając z zagranicy po długiej nieobecności, zatrzymał się w Berlinie. Pobyt ten ma znaczenie polityczne. Według depeszy z dobrego źródła na konferencyjach księcia z kanclerzem niemieckim, do których wezwany był także i Karolyi poseł austryjacki, stanęło zupełne porozumienie w kwestyi wschodniej między Niemcami i Rossyją. Gabinet petersburski otrzymał już propozycyje austryjackie względem rozpostarcia opieki nad Bośniją i Hercogowiną. W tym przedmiocie spodziewaną jest wkrótce stanowcza decyzyja. Taż sama depesza dodaje że trzy mocarstwa północne otrzymawszy od Anglii zawiadomienie o manipulacyi suezkiej, przychylnie ją przyjęły.

— „Tagblatt“ wiedeński podaje następujące punkta projektu reform, opracowanego na podstawie irade z dnia 2 października:

1. Bośnija i Hercogowina rozdzielone zostaną na dwa wilajety, każdy pod osobnym gubernatorem i wice-gubernatorem.

2. Gubernatorem będzie mógł być chrześcijanin, wice-gubernatorem chrześcijanin być musi.

3. Przy boku gubernatora znajduje się sejm prowincyjonalny, oraz delegacyja administracyjna, kontrolująca zarząd gubernatorski.

4. Gminy otrzymają samorząd tak znaczny, że same ściągać będą podatki, a pod względem policyjnym państwo pozostanie tylko przy policyi politycznej.

5. Wszelkie podatki pogłówne i dziesięcinowe ustąpią miejsca nowym istniejącym w Europie, na zasadach słuszności i trzeźwo pojętego interesu ekonomicznego.

6. W miejsce obowiązujących praw cywilnych, wprowadzonym zostanie kodeks Napoleona.

Według korrespondencyi „Havasa,“ Raszyd-pasza, nowy minister spraw zagranicznych jest zwolennikiem ustępstw powszechnych dla wszystkich krajów i narodowości władzy półksiężyca ulegających.

Skąd inąd donoszą, że w Stambule istnieją ciągle obawy, aby stronnictwo wojenne nie odniosło przewagi na radach sułtana. Obawy takie jeżeli są rzeczywiście, wielkiego znaczenia mieć nie mogą.

Turkom ciągle się w Hercogowinie nie powodzi. Telegram z Zary, w Dalmacyi (wymagający potwierdzenia), donosi że powstańcy zmusili do poddania się fort Gorańsko. Dwa batalijony nizamów (piechoty regularnej), dostać się miały przy tej okazyi do niewoli.

Na radzie ministeryjalnej w Madrycie, w obecności jenerałów Martinez Campos i Quesada, postanowiono utworzyć dwie armije po 5 dywizyj; jedna stanie w prowincyjach Basków, druga w Nawarze. Quesada obejmie dowództwo nad pierwszą, Campos nad drugą.

Wybory kortezów odbyć się mają w lutym r. p.

Król Alfons d. 28 listopada ukończył 18 rok życia.

„Gazeta Madrycka“ miała onegdaj ogłosić powrót p. Canovasna stanowisko pierwszego ministra.

— Czytamy w „Gołosie:“ Towarzystwo opieki nad rannymi i chorymi wojownikami z rozporządzenia Najjaśniejszej Pani, Swej Protektorki, wysyła do Cetynii swoich pełnomocników dla pomagania rodzinom, które ucierpiały w Bośnii i Hercogowinie, oraz szpital na sto łużek. Dla niesienia lekarskiej pomocy rannym, wyjeżdżają stąd czterej lekarze, siostry miłosierdzia, felczerzy i aptekarze. Miesięczne wydatki szpitalne obliczono na 10,000 rs.

OD REDAKCYI.

W roku przyszłym 1876 „**Opiekun Domowy**“ wychodzić będzie nadal pod dotychczasową redakcyją, w tym samym co obecnie formacie i kierunku.

Spółka wydawnicza jakąśmy zawarli z panem Julijanem Korzeniewskim właścicielem drukarni, pozwoli nam wypełniać odtąd dokładnie wszystkie działy rozległego programu „**Opiekuna,**“ co nietylko ożywi pismo i poczytniejszym je uczyni, ale zarazem nada mu trwałą i rzeczywistą wartość.

„**Opiekun**“ będzie **pismem illustrowanem,** i od Nowego Roku począwszy, każdy jego numer, illustrowany będzie **licznemi drzeworytami** które o ile dziś już z usilnych, przedsiewziętych w kierunku tym starań, przypuszczać sobie pozwalamy, potrafią w zupełności zadowolić wysoko wykształcony smak artystyczny publiczności naszej.

Od nowego też przyszłego roku, zamieszczać będziemy w „**Opiekunie**“ stale i peryjodycznie **Mody damskie, męskie i dziecinne;** pod tym jednakże względem nie będziemy konkurować z żadnem innem pismem modnem. Nie o bogactwo bowiem ubiorów, nie o dogodzenie kapryśnym a zbyt często dziwacznym wymogom mody chodzić nam będzie, ale o to aby podawać opisy i wzory ubrań odpowiednich, gustownych a tanich; sądzimy bowiem, że czytelniczki polskie ku wygodzie których dział ten wprowadzamy, łącznie z nami pojmują niewłaściwość rujnowania się na przesadne stroje, gdy tyle nędzy do koła, gdy leży odłogiem tyle pilnych potrzeb społecznych.

W prospekcie jaki w tych dniach opuści prasy drukarskie rozwiniemy więcej szczegółowo zakres przyszłej działalności naszej — obecnie zaś nadmieniamy, że ufni w obywatelskie poparcie usiłowań naszych, dotychczasową cenę pisma pozostawiamy bez zmiany, mianowicie:

Przedpłata na „**OPIEKUNA DOMOWEGO**“ wynosić będzie:

w Warszawie łącznie z odnoszeniem do domu.	Na prowincyi i w Cesarstwie łącznie z przesyłką pocztową i opakowaniem.	Za granicą: W Austryi za pośrednictwem księgarni G. Gebethnera i Spółki w Krakowie.
Rocznie . , ... rs. 6 kop. —	Rocznie . . . . rs. 8	w Krakowie rocz. z stem. dzien. Złr. 10 c. —
półrocznie . . . . „ 3 „ —	półrocznie : . . . . „ 4	w Galicyi „ „ „ „ 11 „ 50
kwartalnie . . . . . . , „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . „ 2	w Prusach . . . . 24 marek.
miesięcznie . . . . „ — „ 50		

Prenumerować można w Warszawie we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryjodycznych.
Prenumeratę z Królestwa i Cesarstwa, upraszamy nadsyłać wprost pod adresem:

J. Korzeniewski Wydawca „Opiekuna Domowego,“ ulica Śt. Jerska, Nr. 12 w Warszawie.

Skład główny i ekspedycyja pisma odbywać się też będzie wprost z Kantoru drukarni Wydawcy ulica Śt.-Jerska, Nr. 12 nowy.

Spółka wydawnicza o jakiej wspominaliśmy powyżej, pozwoli nam też zająć się urzeczywistnieniem ulubionej myśli naszej—ukończeniem mianowicie wydawnictwa p. t.: „**Wychowanie Domowe**“ które dla zbyt małego poparcia zawiesić byliśmy zmuszeni, na pierwszych ośmiu tomach. Wydawnictwo to obejmie w ogóle **25 tomów dzieł oryginalnych, mających na celu początkowe wychowanie i wykształcenie** a zbyt jest ważnem dziś dla nas, iżbyśmy ośmielili się przypuszczać że wśród rodzin naszych nie znajdzie i na teraz jak najszerszego przyjęcia, iżbyśmy przypuszczać śmieli że wśród rodzin tych wygasła już chęć popierania tego co dąży do zwiększenia ogólnego dobra, do podniesienia ogólnej oświaty, a przedewszystkiem do wytworzenia w domowych progach, blaskiem zdrowej i pożytecznej nauki ogrzanych przybytków, z którychby na pożytek kraju wychodzili dzielni i szlachetni obywatele. O wydawnictwie tem zawiadomimy również szczegółowo w prospekcie.

Cena całego wydawnictwa p. t.: „**WYCHOWANE DOMOWE**“ wynosi:

w Warszawie . . . . rs. 6 | **Na prowincyi i w Cesarstwie** . . . . rs. 7 kp. 50

OD WYDAWCY.

Pragnąc z jednej strony wywdzięczyć się Szanownym Czytelnikom „**Opiekuna Domowego**“ za łaskawe popieranie naszego wydawnictwa, z drugiej zaś strony chcąc sobie względy ich zaskarbić na przyszłość, postanowiliśmy udzielać prenumeratorom **odpowiednie premija.** O szczegółach co do premij takowych na rok przyszły, 1876, zawiadomimy Szanownych prenumeratorów w właściwym czasie, dziś mamy honor powiadomić tylko że **jako premijum dla wszystkich obecnych PP. prenumeratorów naszych** przeznaczyliśmy przełożone na język polski dzieło **Pawła Leroy-Beaulieu,** uwieńczone przez francuską akademiję nauk moralnych i politycznych p. t.:

PRACA KOBIET w XIX wieku.

Dzieło to obejmujące 318 stronic ścisłego druku dołączymy do numeru pisma w połowie miesiąca Grudnia r. b.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Ноября (9 Декабря) 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.